



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

O WSPÓŁUDZIALE KOBIET

W MIĘDZYNARODOWYCH KONGRESSACH WIĘZIENNYCH.

przez

Alexandra Moldenhawera.

Pośród licznych, nader interessujących a niektórych i głębokiej wartości prac przygotowanych na IV-ty międzynarodowy kongres więzienny, odbywający się obecnie w Petersburgu, znalazłem dwie wyszłe spod pióra kobiet. Treścią ich i wrażeniem, jakie wywarły, a zwłaszcza jedna, na mnie, postanowiłem się podzielić z łaskawymi czytelnikami *Bluszcza*, który tak skrzętnie i chętnie zbiera dowody pracy i postępów kobiet na wszelkich polach działalności.

Angielka panna Fanny Fowke z Londynu obrała do wypracowania pytanie: co jest korzystniejszym dla poprawnego wychowania różnych kategorii nieletnich: czyli rozmieszczanie ich pośród pojedynczych uczciwych rodzin, czy też oddawanie do osobnych, specjalnie w tym celu przeznaczonych dla nich zakładów, już-to poprawczo-karnych, już też poprawczo-wychowawczych, już poprawczo-opiekuńczych? Hiszpanka zaś pani Concepcion Arenal (z Vigo) w obszernym swoim referacie rozebrała drażliwą i wielce sporną kwestyą: czy można przypuszczać, iż niektórzy zbrodniarze i przestępcy są niepoprawnymi, i w razie zdecydowania tego w sposób twierdzący, jakich należy użyć środków dla ochrony

społeczeństwa przeciwko tej kategorii skazanych?

Nie przypominam sobie, żeby panna Fawke występowała poprzednio na którymś z kongressów, ani nie znam żadnej jej pracy z dziedziny kwestyj penitencyarnych. To też zdaje mi się, iż jest to jej pierwszy występ, pierwszy publiczny debiut. Natomiast pani Concepcion Arenal dała się już nieraz, i zaszczytnie, poznać na tem polu. Pomijam liczne jej, teoretyczne i praktyczne, prace w materyach więziennych i prawa karnego, wogóle działalność jej na polu, tak dobroczynności, jak zwłaszcza w zakresie penitencyarnych reform w ojczystym jej kraju, gdzie imię jej dzisiaj otoczone jest powszechnem uznaniem i wziętością. Nadmienię tylko, że już na kongresie międzynarodowym więziennym w Sztokholmie (1878 r.) wybitne, kto wie, czy nie pierwsze niemal, zajęła miejsce pośród mówców światnego zebrania, a to nietylko przekonywającą i pełną wdzięku swoją wymową, ale zarazem i oryginalnością, głębokością i trafnością swoich poglądów, zasobem niezwykłym teoretycznych wiadomości i doświadczenia.

To też, chociaż przemawiała ona kilkakrotnie w najrozmaitszych przedmiotach przychodzących pod rozprawy różnych sekcji kongressu, zawsze i za każdym niemal odezwaniem się, zyskiwała sobie uznanie i poklask licznych i wybrednych, bo wyróżniających się znajomością rzeczy, światłem i prawdziwą nauką słuchaczy. Wiedząc, że znaczną część pożytecznego swego żywota poświęciła między innymi opiece nad ubogimi i opuszczonymi dziećmi, w 1880 roku, kiedy kółko ludzi dobrej woli, podniosło u nas myśl zawiązania Towarzystwa przyjaciół dzieci, zwróciłem się do pani Arenal z prośbą o materyały odnoszące się do jej rodzinnego kraju. Wraz z nader sympatycznym listem, w którym wyrażała gorące uznanie dla dobrego dzieła, nadesłała nam obfite wskazówki, broszurki i usta-

wy w tym przedmiocie. Na kongresie w Rzymie (1885 r.) nie była osobiście; referat jej jednak, noszący tytuł: jakie są środki wychowawcze, których w niedziele i święta w zakładach więziennych używać należy, obok nabożeństwa i nauk religijnych? — był przedmiotem ożywionych rozpraw, sformułowanych przez również gorąco okłaskiwaną pannę Lidią Poetę, doktora praw, a dla autorki raportu wywołał podziękowanie, które natychmiast po posiedzeniu telegrafem przesłane jej zostało. Obecne prace pań Fowke i Arenal doskonale odtwarzają różnice i indywidualność narodową jednej i drugiej. Pierwsza przemawia spokojnie, rozbiera chłodno instytucje, tak zagraniczne, jak i ojczyste, w obranej materyi i w zakończeniu swej pracy przechylać się zdaje do systematu mieszanego. Powiadam „przechylać się zdaje“ dla tego, że autorka tak jest obiektywną w swojej pracy, że wyraźnie nigdzie prawie opinii swej nie formułuje, jakby pozostawiała to czytelnikowi, przed którym nader sumiennie rozwija istniejące urządzenia. Referat ten czyta się też z uznaniem dla pracowitości i bezstronności tej, która go pisała, ale bynajmniej nie porywa, bo ma w sobie coś jakby z angielskiej sztywności i powagi. Pani Arenal poruszoną kwestyą traktuje z równą sumiennością i wszechstronnością, ale przedstawia ją gorąco, z zapalem zdradzającym pochodzenie jej z południowego nieba.

Dotyka ona najdrażliwszych punktów ujemnych stron i ran społecznych, maluje je jaskrawymi farbami, z wielkim ożywieniem i uczuciem. Niektóre jej spostrzeżenia trafne i głębokie, zdradzają w niej siłę niby męskiego umysłu nawykłego do poważnych, społeczno-fizycznych dociekań i badań, obok których znowu delikatność traktowania i cieniowania przedmiotu wymownie świadczą o czułym, kobiecym jej sercu, znamionując niewieście jej, ponętne i barwne, pióro. Może nie na wszystkie jej poglądy można się zgodzić bez-

warunkowo, może ciężkie niektóre jej zarzuty są wyrazem szlachetności jej uczuć, najlepszych chęci, może surowa krytyka to i owo jej wytknie jako niepraktyczne, zanedo idealne; może dowiedzie, że pewne zło w społeczeństwie jest niemal koniecznym, choćby dla tryumfu i otwarcia pola do działania dobremu; może wykaże, iż zło to autorka, jakby dla zniechęcenia i obrzydzenia do niego umyślnie zwiększa, — nie mniej przeto praca jej czyta się z najwyższym zajęciem. Przytaczać jej, choćby w streszczeniu, niepodobna (obejmuje ona 60 str. i stanowi sporą broszurkę); ograniczę się przeto tylko na dosłownym powtórzeniu jej konkluzji. Czytelnik i tak już poweźmie wyobrażenie o rozmaitości i ważności rozbieranych przez autorkę kwestyj. Konkluzje owe bowiem są kwintessencją, jakby streszczeniem jej poglądów, a jednocześnie w traktowanym przedmiocie stanowią jakby jej autorskie wyznanie wiary.

Natomiast pominąć muszę dowodzenia stawianych przez nią tez, lubo w ogóle nader przekonujące i niepospolite logiczne; gdyż na to musiałbym powtórzyć całą, jak nadmieniałem, obszerną, jej pracę. Nie będę też polemizował z panią Arenal i tylko w tych punktach, gdzie treściwość konkluzji nie oddaje należycie jej myśli, postaram się ją wyjaśnić, zachowując tym sposobem najzupełniej indywidualność i właściwości stylu bądź-co-bądź niepospolitej kobiety.

Otóż, zamykając swój cenny i ciekawy referat, pisze autorka w końcu: „Jeżeli to, co powiedzieliśmy w niniejszym raporcie, jest dokładnym, wynika, 1-o: Że poprawa przestępcy nie jest bezwzględna, ale raczej nader względna i stopniowa, tak, iż ta ich massa, którą zwykle prawnie uważamy za jednolitą, bynajmniej nią nie jest. 2-o: Ze ponieważ pojedynczy skazaniec lub tysiące skazanych wcale się nie poprawiło, w złych warunkach w jakich ich pozostawiano (autorka ma tu na myśli nieodpowiednio urządzone więzienia, niewłaściwe moralizowania środki i t. p.) nie należy bynajmniej z tego wnioskować jeszcze, że są oni niepoprawni. (P. Arenal stawia i przeprowadza świetnie różnicę między indywiduum *niepoprawionem*—*incorrigé* i *niedającym się poprawić*—*incorrigible* i subtelność tę mistrzowsko prawdziwie w ciekawym swoim traktacie wykazuje i określa). 3-o: Że obecne prawo nie posiada, albo bynajmniej nie używa, innych środków prócz nader pierwotnych i niedostatecznych (częstokroć widocznie niesprawiedliwych i nierozumnych) dla okreslenia i zakwalifikowania recydywisty jako niepoprawnego. 4-o: Że istnieje stosunek i związek pomiędzy ważnością wykroczenia prawnego a łatwością powtarzania go przez tegoż samego przestępcę. Oile występki jest ważniejszym i cięższym, o tyle jest też bardziej nienaturalnym (anormalnym), to jest mniej odpowiednim naturze ludzkiej (takiej, jaka przedstawia się obecnie w krajach cywilizowanych), a skutkiem tego i trudniej daje się uznać za *coś trwałego i istotnego* w człowieku.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA.

(Dalszy ciąg)

Półtrzecia roku wałęsania się bez celu, czepiania się rozmaitych środków, łudzenia siebie samego jakąś bezpodstawną, nieokreśloną nadzieją poprawienia swego losu, postarzały go i zmieniły doniepoznania.

Jednej tylko rzeczy w nim nie stłumiły: pychy i uporu.

Na wiadomość o przyjęciu, jakiego doznał list jego u ojca, zamiast uznać słuszne oburzenie i upokorzyć się wobec tych, których tak sromotnie zawiódł, Karol czuł się raczej dotkniętym gniewem starego i wyrzutami matki, zdającej mu ze łzami w oczach sprawę ze wszystkiego.

Za nic w świecie nie byłby się przyznał do żadnej winy lub popełnionego błędu. Wszystko składał na losy i nieszczęśliwą chwilę; gdyby nie ona, utrzymywał, byłby się ostał i tryumfował nad spleśniałymi pojęciami wszystkich, którzy mu nieprzezorność i lekkomyślność wyrzucali.

„Zobaczmy teraz, co pan Fatt senior potrafi — pisał do matki z przekąsem, świadczącym o rozdrażnieniu wiadomościami, jakie od niej odebrał. — Nic łatwiejszego, jak komuś wymyślać i piorunami ciskać. Skoro ojciec tak bardzo jest na mnie oburzony, mogę mu się nie narzucać moimi listami i oszczędzić mu irytacji. Bogu dzięki, znajdują się obcy ludzie, z którymi łatwiej przyjdzie mi się porozumieć“.

Kilka miesięcy potem nie było żadnego listu od niego; żonie oświadczył, że jeżeli „chce trzymać z jego wrogami i potwarcami“, to jej nie przeszkadza. Przyjdzie czas, w którym pozna, kto miał większą słusność.

Ton jego korespondencji był ostry, przykry, zgryźliwy, bez śladu uczucia i skruchy.

Po dłuższej przerwie napisał do matki, aby mu się starała wydostać od starego parę tysięcy rubli, skoro interessa — jak słyszy — dały się jako tako uregulować. Pieniądze te są mu konieczne potrzebne na rozpoczęcie przedsięwzięcia, które się mu nastrocza. Z pewną zuchwałością niemal żądał tej kwoty, bo „gdybyśmy się porachowali — pisał — pomimo wszystkich strat, należałoby mi się jeszcze chyba znacznie więcej od tego, co żądam teraz“.

Odebrał odpowiedź od zafrasowanej matki, żeby się przez kogo innego albo wprost udał do ojca, gdyż sama nie ma odwagi wystąpić w jego sprawie wobec formalnego zakazu wspominania o nim w domu.

Wyrażała przy tem wątpliwość, czy mu się uda wskórać co w tym czasie, w którym dla „oszczędności — muszę ci się przyznać mój drogi synu, nie jadamy teraz z woli ojca drugiego śniadania. Ograniczyliśmy wszystkie nasze domowe wydatki i poprostu skąpimy sobie wszystkiego, aby tylko koniec z końcem związać“.

Pisała to w zaufaniu, jak do syna, który powinien był zrozumieć przyczyny i cele tych ograniczeń, ale jemu się wydało, że mu czyni wyrzuty, iż z jego winy głód teraz cierpią.

Obraził się i przestał zupełnie korespondować z rodziną.

Żona jego tymczasem z dziećmi, w swej nieokreślonej pozycji, ni wdowy, ni mężatki, ni rozwódki, zajmowała w domu teścia stanowisko dla siebie niewymownie kłopotliwe. Znalazła się wkrótce po ucieczce męża bez funduszu i środków do życia, miała tylko to, co jej stary Fatt udzielał, czuła się jakby gracyalistką w tym domu, w którym była właściwie gościem, korzystającym z przytułku.

— Ja pojedę do Karola, proszę mamy — mówiła do Fattowej — cóż ja tu z dziećmi robić będę!..

Świekra wzruszała ramionami i wzdychała żałośnie.

— A cóż wy tam razem poczniecie? — odpowiadała — spadniesz mu na głowę teraz, kiedy sam nie ma stałego zajęcia i niewiedomo, kiedy je znajdzie.

— A cóż ja mam zrobić?..

— Ha, czekaj jeszcze, może przecież się wszystko zmieni, może ojciec da się udobruchać, może Karol powróci.

Pani Wanda poddawała się z początku temu losowi, czekała z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, ale, otrząsnąwszy się trochę z pierwszego wstrząśnienia, zaczęła rozmyślać nad swoim położeniem i niedolą bardziej krytycznie.

Litość i ślepe współczucie dla męża pod wpływem jego listów i całego postępowania od czasu wyjazdu ustąpiły miejsca, najpierw cichemu za-

łowi, a potem coraz głośniejszym zarzutom. Nie ukrywała już swoich słusnych pretensyj do ojca własnych dzieci, który zdawał się zapominać o nich zupełnie i wyzuwać się całkowicie z obowiązków swoich.

— Ja nie rozumiem, proszę mamy, co sobie ten Karol myśli. Żeby też napisał chociaż przez tyle miesięcy!.. żeby się spytał przynajmniej, co my tu robimy! — skarżyła się przed świekrą. — Za cóż się gniewa na nas?.. przecież Bogiem a prawdą, to chyba ja mogłabym mieć do niego najwięcej pretensyi.

W Fattowej odzywała się w takich chwilach drażliwa matka: stawiała zaraz w obronie syna; nie chciała pozwolić na potępienie go, nawet przez synową.

— Moja Wandziu, — odpowiadała z urażoną godnością — nie wiem, dlaczego twoje pretensye mogłyby być większe od naszych? Wprawdzie Lolo — (ta zdrobniałość miała być akcentem macierzyńskiego politowania nad losem syna) — utopił twój posag w swoich przedsięwzięciach, ale przecież i swoją część stracił; nie przeżył, nie przegrał w karty, nie rozdarował nikomu, tylko nieszczęśliwie przespekulował. Dziwię ci się, moja droga, że z takimi pretensyami możesz występować, znając stan rzeczy....

— Ależ, moja mamo — broniła się synowa — czyż mi chodzi o pieniądze, o mój majątek?.. czyż ja się o to upominam?.. Mój Boże, mama mnie chyba nie chce zrozumieć!.. mnie tylko boli ta jego oziębłość dla mnie i dla dzieci. Jąbym się chętnie zgodziła dzielić z nim suchy kawałek chleba i zarabiać na życie, jak prosta szwaczka, abym tylko przy nim być mogła, a on nawet ani razu nie wspomniął w liście, że mu tęskno do mnie albo do dzieci.

Stara robiła minę zadasaną i niezadowoloną. — Moja kochana, gdzie on tam ma teraz ochotę do romansów! — mówiła — Biedaczysko tułać się musi po świecie, a ja mu nawet dopomóż niczem nie mogę. Tobie przecież, pochlebiam sobie, niczego nie brak w naszym domu i dzieciom także, a on może do ust nie ma czego włożyć!..

Żyły stawały jej w oczach i, jakby z wyrzutem za taki brak serca, odwracała się od synowej, nie wchodząc w jej smutne położenie.

Niekiedy zdawało się, że ma żal do niej za syna i za te łzy, które wylewała, oskarżając go o zapomnienie.

Pewnego razu powiedziała jej wprost:

— Moja Wandziu, nie gniewaj się, ale ci muszę wyznać, że w tej całej sprawie zawiele myślisz o sobie. Nic innego nie masz na języku, tylko siebie i swoje dzieci, a przecież widzisz, że oile możliwości staramy się ci twoją dolę osłodzić. Dla rodzonej córki nie moglibyśmy zrobić więcej: przyznaj sama. Zresztą, jeżeli ci to wszystko jeszcze nie wystarcza, to...
Miała wielką ochotę dokończyć:

— To spróbuj-no znaleźć lepszą opiekę i lepszy przytułek u własnej rodziny. Masz przecie ciotki swoje, mogą się tobą zająć, jeżeli ci źle u nas. Jeżeli tego nie powiedziała głośno, to tylko z obawy przed mężem, który synową swą traktował, poza rodzinnym stosunkiem, jako jedną z najgłówniejszych wierzyńców firmy, wierzyńców poszkodowanych najbardziej.

Zapowiadał jej wyraźnie, że się uważa za jej dłużnika i będzie się starał dzieciom zwrócić choć część tego, co w posagu matki straciły.

Mimo wszystko, dłuższy pobyt pani Wandy w domu teściów stawał się dla niej przykrym; z początku nie zwracała uwagi na takie przemówki swojej świekry, ale w miarę naprężania się ich stosunku coraz więcej uczuwała prawdę przysłowia: „Matka męża — głowa węza“, a drażliwość jej wystawioną bywała na ciężkie próby, bo im więcej żalu i goryczy zbierało się w jej sercu dla Karola, tem więcej matka jego odsuwała się od niej, jakby za złe jej biorąc tę naturalną reakcją uczuć zadrzaśniętych tak boleśnie.

Doszło do tego, że po kilka dni nie rozmawiały z sobą, podrażnione wzajemnymi uwagami i docinkami.

Liza przyjmowała na siebie w takich razach rolę pośredniczki i starała się przywracać zgodę, uznając słusność pretensyi bratowej, dla której

okazywała zawsze wiele sympatii i współczucia.

— Moja droga—mówiła do pani Wandy—nie dziw się mamie, że bywa chwilami przykłą dla ciebie; ona zawsze najbardziej z nas wszystkich kochała Karola: więc dzisiaj, kiedy tak na niego wszyscy powstają, żal jej syna, którego chciałaby bronić przed całym światem, chociażby o jego winach była przekonana. Cóż chcesz? to przecież matka, a miłość macierzyńska podobno bywa ślepą, bo Pan Bóg chciał, aby nawet największy zbrodniarz miał swego obrońcę jedynego w matce. Ty powinnaś to pojąć i być wyrozumiałą, bo sama masz przecież dzieci.

Nie nadługo podobne perswazyje skutkowały; skończyło się wreszcie na tem, że pani Wanda postanowiła przenieść się na wieś do swojej wujenki pod pozorem, iż dla niej i dla dzieci wiewskie powietrze jest potrzebne.

— Moje biedne mizerotki trochę odżyją na świeżem mleku—powiedziała teściowi—zresztą i dla mnie będzie lepiej, jeśli opuszczę miasto. I tak zabieram za dużo miejsca tutaj.

— Przecież nam z tobą nie zaciasno—zauważył stary, nie przypuszczając nawet powodów, które jego synową skłaniały do tego postanowienia.

Zamiast odpowiedzi połknęła łzy i ucałowała teścia w rękę; nie chciała się zdradzić i wyznać całej prawdy narażać świekry swej na nieprzyjemności.

Wyjeżdżała zapłakana, ale milcząca, nie dając poznać po sobie żadnego żalu do matki męża. Dwa lata cierpień tłumionych i ukrywanych, zmieniły ją również i przekształciły moralnie. Spoważniała, straciła swój dawny humor i rezon, unikała teraz świata i szukała samotności.

Z wesołej trzpiotki robiła się cicha, smutna sensatka.

Kiedy razu pewnego przy czesaniu znalazła siwy włos na skroni, pobięła do Lizy i, kiwając boleśnie głową, rzekła jej tylko ze łzami w oczach i w głosie:

— Patrz, jak ja siwieję!..

Dziewczyna z politowaniem spojrziała na płową główkę bratowej.

— Pokaż—zawołała—pokaż!..

I zaczęła szukać więcej tej srebrnej przędzy, którą troska wysnuwa przedwcześnie na kobiecych skroniach.

— Eh,—rzekła na pocieszenie jej—jeden włos się tylko znalazł, i to przypadkiem. Daj, ja ci go wyrwę.

Pani Wanda cofnęła szybko głowę i powstrzymała ją ruchem ręki.

— Zostaw, nie wrywaj!.. ja go zachowam, dopóki Karol nie wróci; niech zobaczy, że ja przez niego posiwiłam.

Mówiła to ze smutkiem nieszczęśliwego dziecka a z rezygnacją kobiety, dla której życie straciło już wszystkie powaby. Liza nie mogła się powstrzymać od uśmiechu, choć ją rozrzewnił widok bratowej i dźwięk jej głosu; objęła ją ramionami, i całując serdecznie w tę skroń, na której srebrzył się zaledwie dostrzegalny włos siwy, pieściła ją w objęciu na poły ze współczuciem, na poły żartobliwie, ze słowami:

— Oj ty, ty, staruchol!.. takas siwiuteńka już, jak gołąbek!..

— Śmieję się, śmieję—mówiła przez łzy pani Wanda—a mnie się serce kraje. Mojego nieszczęścia nikt na całym świecie nie podziela. Dopiero teraz czuję, że jestem sierotą,—pierwszy raz w życiu to czuję!..

Tyle szczerej skargi było w jej głosie, że i Liza łzy w oczach stanęły.

W chwili, gdy koniecznością zmuszony Karol zdecydował się niespodzianie powrócić z zagranicy, pani Wanda z dziećmi od kilku miesięcy bawiła już na wsi, zostawiając się z domem teściów.

Przypadkowo z ust stróża dowiedział się dopiero o nieobecności żony.

Nie domyślał się przyczyny, która ten rozdział spowodowała; było mu to nawet bardzo nie na rękę w danej chwili, bo obiecywał sobie, że za pośrednictwem jej zdoła łatwiej trafić do ojca i pogodzić się z rodziną.

Chodziło mu teraz głównie tylko o siebie sa-

mego, o zaspokojenie najpierw własnych potrzeb; chciał dostać się jak najspieszniej do jakiegoś sucho go kąta, wypocząć, zrzucić z siebie te suknie od kilku dni niezdejmowane, ten but z grubej skóry, który go uciskał boleśnie, zmienić bieliznę, wyciągnąć się na łóżku, rozgrzać i wyspać wygodnie.

Potrzeby fizyczne przeważały nad wszystkimi innymi.

Ostatnich kilka tygodni dokuczyło mu pod tym względem nieznośnie; zdawało mu się, że spadł do takiej nędzy, o jakiej nie miał wyobrażenia, że już go nie gorszego spotkać nie mogło.

Musiał sprzedać we Wrocławiu ślubną obrączkę, aby kupić bilet trzeciej klasy i dostać się z powrotem; zostało mu zaledwie kilka groszy w kieszeni, jemu, który rozrzucał setkami rubli, tak niedawno jeszcze, bez rachunku i zastanowienia.

Dopóki na każde zawołanie przynoszono mu z kasy żadaną sumę, dopóki miał pełny pugilares i potrzebował tylko otworzyć żelazne drzwiczki swego ogniotrwałego skarbcza, aby pełną ręką zaczerpnąć z niego pieniędzy, zdawało mu się, że potrafi sobie zawsze i wszędzie radzić w każdej potrzebie i że różnice w jego życiu mogą stanowić tylko znaczne kwoty; nie przypuszczał nawet, iż kiedyś złotówka, marna złotówka, może mieć dla niego większe znaczenie, niż dawniej tęczowy banknot sturubłówki.

— To dziwna—mówił sobie teraz niejednokrotnie—jak się łatwo te drobne pieniądze rozłazi!.. Jak ludzie mogą żyć z tak małych funduszy!..

Nie umiał sobie radzić, przyzwyczajony do wyrzucania złota, z tą koprowiną, na której mu w końcu los poprzesztawać zaczął.

— Nie, nie nauczyłbym się do końca życia być ubogim!—powtarzał sobie,—do tego trzeba się urodzić w nędzy chyba i w niedostatku.

Ta przechwalana praktyczność i umysł spekulacyjny, którym się pysznił za świetnych swoich czasów, zawodziły go najzupełniej teraz, gdy chodziło o ekonomię codziennego życia, o taki podział środków, aby przez kilka dni z rzędu mieć przynajmniej zapewniony obiad i nocleg pod dachem.

Nie umiał sobie radzić z takimi drobiazgami, jak kawałek powszedniego chleba, którego nie wyobrażał sobie bez pasztetu, a przynajmniej bez masła i kawioru, możliwym do zjedzenia.

Ale i tego chleba nasucho zabrakło mu w końcu; uboższemu się czuł od prostego robotnika, który po pracy miał się czem posilić.

Praca!.. ten wyraz często przychodził mu na myśl, ale on w swoim pojęciu nadawał mu inne znaczenie, niż wszyscy.

Owszem, nie zarzekał się tej pracy, lecz stawiał jej pewne warunki ze swojej strony, pewne wymagania, chciał z nią wchodzić w układy, szukał jej zagranicą, ale nie na tam, gdzie ona się znajdowała, tylko tam, gdzie on sam ją znaleźć pragnął.

Bez kapitału zachciewało mu się wchodzić w spółki, rozpoczynać nowe przedsięwzięcia; szukał posady dyrektora domów komisowych, następcę się na kierownika zakładów przemysłowych, starał się o miejsce w bankach; jednakowoż wszystko to wydawało mu się jeszcze ustepstwem, jakie gotów był zrobić w stosunku do zajmowanego dawniej stanowiska.

Nie chciał zrozumieć i uznać tego, że jest wykończonym rozbitek, i że, jeśli nie ma zamiaru zmarnieć zupełnie, lub stać się pasożytem ostatniego gatunku, to dla kawałka chleba nie wolno mu w niczem przebierać i odwoływać się do utraconych tytułów i pretensyj.

Dlatego to po półtrzecia roku tułaczki wracał prawie nędzarzem, zbiedzonym i szarpanym, uważając los za największego prześladowcę, a świat i cały porządek na nim, za coś tak potwornego, koszlawego, niesprawiedliwego, że plunąć-by nie było warto na ten cały kram, gdyby... gdyby się jednak żyć nie chciało naprzekór temu podłemu losowi, który człowieka niewinnie gnębi.

Została w nim jakaś namiętność szulera pomimo tak kolosalnej przegranej, — i dziwna

rzecz, kiedy sobie teraz w najcięższych chwilach zwątpienia przypominał śmierć Jańskiego i swoje samobójcze zamiary, żal mu się robiło tego życia bardziej, aniżeli wówczas, gdy miał o wiele więcej do stracenia.

Ta wegetacja wybujałego chwastu była mu droższą, niż kiedykolwiek dawniejsza egzystencja.

Mając dużo czasu do rozmyślenia nad sobą, nad swoim stanem, doszedł do samych wniosków przychylnych dla siebie, a nieprzychylnych dla całego świata, przedewszystkiem dla swej rodziny.

Ten ojciec, który go tak kochał, pozwa'a mu cierpieć teraz niedostatek, znać go nie chce, wypiera się go, marnych kilku tysięcy rubli na zapewnienie losu mu skąpi: a przecież zabrał mu resztki fortuny i podobno robi dalej dobre interesy; czegoż chce?... źle mu przy fabryce ocalonej?... pozostała mu przecież podstawa do zrobienia po raz drugi majątku.

A matka!.. matka patrzyła w niego, jak w obraz, słuchała go, jak kaznodziei, gdy mówił, uważała go za ideał wszystkich synów; a teraz nie umie nawet w obronie jego skutecznie stanąć, każe mu samemu borykać się z losem i z uprzedzeniami starego!

Siostra, którą chciał zrobić baronową, którą w domu swoim ze wszystkich najbardziej wyróżniał, nie ma dla niego słowa pociechy, nie napisała ani jednego listu, odkiedy bawi za granicą. Żona zamiast stanąć po jego stronie, robi mu jeszcze wymówki, cierpka, gorzka, z pretensjami swojemi, uważa się za nieszczęśliwą, napiera się, aby ją zabrał do siebie, jakby jej tam głowę urywali. Towarzyszka jego życia!.. a zrozumieć go nigdy nie mogła i teraz nie rozumie.

Brat... no, ten przynajmniej może mieć do niego pretensje za Pęczynskich; zresztą, teraz niech się żeni nawet z córką stróża fabrycznego: wszystko mu jedno, nie myśli się wtrącać do niczego, nie myśli dbać o cudze dobro, kiedy o jego dobro najbliżsi nie dbają.

Baron na trzy listy nawet nie odpowiedział.

Wszyscy, wszyscy jednakowi!..

Gorycz zawodu i uprzedzenia, podsycana sofistykami samolubstwa i pychy, przepełniała go; wracał, aby im powiedzieć przy spotkaniu, co o nich myśli!..

Tak mu się przynajmniej zdawało w chwili, gdy się zabierał do powrotu.

Ten mglisty wszelako, słotny wieczór jesienny, ta wilgoć przejmująca do kości, podróż w dusznym, przepełnionym wagonie, w towarzystwie pasażerów niedobrych, kilkanaście godzin spędzonych na twardej, drewnianej ławce, wszystko to wpłynęło na Karola bardzo przygnębiająco.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POPISY MUZYCZNE.

Przepełnioną była sala ratuszowa w dzień popisu uczniów i uczennic Instytutu Muzycznego. Odlat wielu popisy te obudzają ciekawość publiczności i rzeczywiście niektóre z nich istotnymi bywały koncertami, na których przyszli soliści wirtuozowie zdobywali sobie oklaski pełne zachęty. Tym razem wszakże zamknięcie roku szkolnego w konserwatorium miało znaczenie szersze, aniżeli wykazanie kilku wybitnych wirtuozowskich talentów, albowiem dało ono, oile możności, jak najwszechstronniejszy obraz działalności i pracy szkolnej we wszelkich kierunkach, jakich domaga się prawdziwy rozwój sztuki.

Od lat dwóch konserwatorium, pozostając pod kierownictwem rady pedagogicznej, wybieranej z grona profesorów, posiada obecnie dopiero wszystkie klasy, jakie istnieją w podobnych wyższych zagranicznych instytucjach; czyli, że starano się braki uzupełnić, kursa teoretyczne rozszerzyć i nadać całej nauce zwrot taki, iżby kończą-

cy ją uczniowie mogli w poczuciu swych celów kroczyć nadal drogą ku jakiej ich talent powoła.

Przedewszystkiem chcemy tu mówić o klasie kompozyty, istniejącej dopiero od roku, a którą prowadzi Zygmunt Noskowski. Klasa ta poszczycić się już może owocami pracy, zebranymi stosunkowo w tak krótkim czasie, i zwraca uwagę ogółu na zdolnych adeptów sztuki w głębszym znaczeniu jej miana.

Dotychczas talent twórczy nie miał w tutejszym Instytucie najmniejszej możliwości rozwoju; nawet kto wie ile rzeczywistych jego iskiełek zagasło niepostrzeżenie: a jednakże ci właśnie, w których piersiach twórcza iskierka przeblyska, domagają się największej pieczy ze strony społeczeństwa. Oile dla wirtuoza sztuka jest tylko dźwignią, zapomocą której sam dla siebie zdobywa laury i przemijające wraz z istnieniem stanowisko; oile dla wirtuoz, z konieczności swego położenia, bywa zazwyczaj niewdzięcznym dzieckiem swojego kraju, a im większy talent posiada temna szerszym produkuje go świecie, gdyż muza ciasne koło rodzinnej sławy, — o tyle, przeciwnie, kompozytor, działalnością swą, gdziekolwiek go losy rzuci, zawsze na swojski grunt wysła promienie!

Wracając do tegorocznego popisu, pierwszymi którzy wykazali wybitniejsze kompozytorskie zdolności, zapal i sumienne studia pod przewodnictwem znakomitego kierownika są: pp. Konopasek, Romaszko i Melcer, ten ostatni nawet na szczególne zasługuje wyróżnienie.

Drugim interesującym dowodem sumiennej pracy pedagogicznej był występ orkiestry, która bardzo dobrze wykonała uwerturę z opery „Flet zaczarowany“ Mozarta. I tu wypada nadmienić, że klasa orkiestralna, którą prowadzi pan Trombini, dopiero teraz posiada stałe istnienie; dotychczas zazwyczaj orkiestra zbierana bywała tylko dorywczo, pomimo, że pracowanie w działach zbiorowej muzyki jak: orkiestra, chóry, ma wielką racją bytu przez swój wpływ na ogólne umuzykalnienie, to jest na rozwój słuchu i poczucie rytmiki, nie może być przeto lekceważoną w programie poważniejszej instytucji.

Popis klas fortepianowych świetnie wypadł; ale-bo też ich wytrawni kierownicy pp. Strobl i Schlötzer z całem zamięłowaniem pielęgnują rozkwit wydatniejszych w tym dziale zdolności. Z uczennic pana Strobla cztery występowały na estradę, z tych najgorętsze oklaski dostały się pannie Saenger i pannie Jankowskiej. Z klasy pana Szlöttera produkowały się: panna Krzykowska, panna Wiesiołowska i panna Terminińska, przykuwając uwagę słuchaczy, zarówno znaczną techniką, jak zapalem i wyrobieniem artystycznego poczucia.

Panna Helena Dąbrowska, wiolonistka z klasy p. Barcewicza, wielkie wrażenie wywarła siłą tonu i techniką wysoko rozwiniętą. Nie mniej wybornie zaprezentowała się klasa śpiewu solowego, p. Horbowskiego, w osobach panien: Kwiecińskiej i Zapalkiewicz, którym tak ze względu na piękny głos, jak prawidłowe jego wyrobienie i estetyczne pojęcie wykonanych utworów, słusznie można wróżyć piękną przyszłość.

Pan Aloiz (klasa wiolonczelli) może się też pochlubić tak zdolnym uczniem, jakim jest pan Waghalter, posiadający piękny ton i wielką już wprawę.

Na zakończenie zaznaczmy klasę trąbki, w której pan Lubiński do ideału doprowadza naukę gry na tym instrumencie; taką technikę, subtelność odcieni i artystyczne zacięcie posiadają jego uczniowie (pp. Gwizdalski i Zygmuntowicz), iż do skończonych już wirtuozów śmiało ich można zaliczyć.

W ogólnym tedy rzucie oka na działalność konserwatorium spostrzegamy, iż instytucja ta posuwa się naprzód i przygotowuje sobie w przyszłości stanowisko pedagogiczne bez zarzutu. Liczba uczniów i uczennic wynosi obecnie około pięćuset; jest to liczba niebywała nigdy w latach poprzednich.

W dniu 18 Czerwca, o trzeciej po południu, odbył się również popis w Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych.

Instytucja ta budzi największe zajęcie i sympatyę swem zadaniem wzniosłem: niesienia oświaty i pomocy tam, dokąd w zwykłych warunkach społecznych nie doszłyby one nigdy. Głuchoniemi i Ociemniałi, to dwa światy odrębne, znajdujące się poza zwykłą siecią dróg cywilizacyjnych, któremi kroczą ludzie obdarzeni pełnią swych zmysłów, swych zdolności, i którzy, chcąc tylko usilnie, mogą się zawsze dobić pewnego stanowiska w hierarchii społecznej.

Tak Głuchoniemi jako też i Ociemniały musi kraść w ciasnym kole naznaczonego mu przez los i nie może bezkarnie przejść tej granicy poza którą nie znajdzie odpowiedniego swej naturze żywiołu. By uczynić to ciasne koło względnie szerszem, a życie wydziejczonych normalniejszem, siedmiedziesiąt trzy lata temu Ks. Jakób Falkowski założył instytut, który miał im zastąpić rodzinę, szkołę i dobroczyńców. Równocześnie prawie w całej Europie serdecznie zajęto się losem Głuchoniemych i Ociemniałych; powstawały szkoły, systemata nauczania; wynajdywano najodpowiedniejsze ich naturze zajęcia — słowem: tworzone właśnie ten świat odrębny, lecz znośny, w którym istoty, znajdujące się prawie w stanie zwierzęcego zaniedbania, ludźmi już wprowadzano w zetknięcie się z życiem pracy samodzielnej, tak umysłowej, jako też i fizycznej. — Instytut warszawski przeszedł wiele kolei; z czasem z instytucji dobroczynnej przemienił się w zakład naukowy rządowy; rozwijając się coraz bardziej pod troskliwą opieką, tak rządu, jako też i ludzi dobrej woli, doszedł nareszcie do stanowiska pierwszorzędnego wśród instytucji tego rodzaju, na którym-to stanowisku pozostawił go zmarły przed pięcioma laty Jan Papłoński, długoletni jego kierownik.

Czasy się jednak zmieniają: ludzie szlachetnych porywów coraz mniej, i cele, chociażby najwznioślejsze, lecz nie przedstawiające bezpośrednich korzyści osobistych, nietylko już, co przedtem, budzą zajęcia wśród ogółu. Instytut doświadcza tego na sobie. Aczkolwiek posiada stałe fundusze skarbowe i cokolwiek swego majątku, to wszystko jednak nie starczy na jego potrzeby, a raczej na potrzeby tych, którzy ze wszechstron kraju do niego się garną. Na stu kandydatów corocznych Instytut może przyjąć co najwyżej, dwudziestu nowych wychowalców, dla reszty nie ma miejsca; wskutek braku funduszy jest zmuszonym ścieśniać zakres działalności pedagogicznej, i wyrzec się wszelkich pokuszeń postępowych dążenia coraz wyżej, a wiadomo przecie, że kto nie postępuje, ten się cofa.

W takich-to okolicznościach odbył się popis tegoroczny. Napozór nie się nie zmieniło, koło własnym rozpędem samo jakiś czas się toczy; uczniowie ociemniałi popisywali się produkcjami muzycznymi, w program których wchodziły dzieła: Moniuszki, Beethovena, Moszkowskiego, Vieuxtemps'a. Dział ten nauki stanowi dla nich najgłówniejsze zajęcie, a dając im w przyszłości możność uczciwego zarobkowania, czyni z nich ludzi, którzy przestają być ciężarem społeczeństwu i, cowiec, często nawet stają się pożytecznymi dla drugich.

Szkoła muzyczna, zorganizowana możliwie wyczerpująco, kształci w grze na fortepianie, skrzypcach, w grze na instrumentach wchodzących w skład orkiestry, w śpiewie i teorii muzyki. Nauczycieli muzyki było czterem; udzielali oni do dwustu godzin lekcji tygodniowo. W ubiegłym roku szkolnym kształciło się w Instytucie dwudziestu dwóch uczniów i dziewięć uczennic. Oprócz muzyki Ociemniałi pobierają wykształcenie humanitarne i naukę rzemiosł, jako to: szczerbakarstwa, powroźnictwa i koszykarstwa. Po większej części prawie wszyscy uczniowie odznaczają się dobrym słuchem i wyborną pamięcią, co wielce ułatwia naukę, prowadzoną wykładowo. Umysł zaś ich jest zdolnym przyjąć naukę w dość poważnym zakresie. Tyle o ociemniałych. Głuchoniemi oprócz nauki dobywania głosu i właściwej mowy, nabierają pewnego wyobrażenia z wszystkich działów nauki humanitarnej, kształcąc do pewnego stopnia swój umysł, lecz głównie oddając się pracy w warsztatach: krawieckim, szewckim, stolarskim, tokarskim i introligatorskim. Niektórzy

z nich kształcą się na zecerów, pracując we wzorowo urządzonej drukarni instytucyjnej. Dziewczęta uczą się robót ręcznych, w której-to pracy dochodzą do wielkiej wprawy i doskonałości.

Podczas popisu urządzoną była wystawa robót gdzie można było się przekonać o wielkiem staraniu, z jakim ten dział nauki głuchoniemych jest prowadzonym. Uczniowie (i uczennice) popisywali się przytem z artykulacją, poznawaniem mowy z poruszenia ust, jak również byli examinowani z nauki o rzeczach, z geografii, botaniki i t. p. — Całkowita liczba uczniów i uczennic dosięgła w ubiegłym roku poważnej liczby dwustu; część z nich uczęszczała jako przychodni uczniowie do oddziałów paralelnych, znajdujących się przy ulicy Piwnej.

Widzimy więc, że popis tegoroczny dał nam obraz nauki prowadzonej bardzo starannie i z wielką korzyścią dla tak nieszczęśliwych istot. Gdyby nie wykształcenie zawodowe, które pobierają i które zabezpiecza ich byt w przyszłości, stałyby się one uciążliwym balastem, paryasami społeczeństwa swego, z szeroko otwartą drogą do nędzy i występku.

Żal więc serdeczny ogarnia, gdy się pomyśli, iż zacna ta praca może w przyszłości zachwiać się i paść w ruinę, li tylko przez chwilowy brak środków i serdecznej opieki.

Notatki pedagogiczne.

— Kolonie letnie dla ubogich dzieci warszawskich, instytucja filantropijna wielkiego znaczenia dla niezamożnej ludności naszego miasta, rozwija się bardzo pomyślnie, jak to wykazało doroczne, drukiem ogłoszone, sprawozdanie D-ra Gustawa Fritsche, który, podjąwszy pocziwie trud rozpoczął już przez D-ra St. Markiewicza, stał się dziś już twórcą tego dobroczynnego dzieła. W pierwszym roku zawiązania się kolonii, 1882, wysłano na wieś dla odetchnienia powietrzem świeżem, dla odżywienia organizmu znędniałego, wśród ciasnych, przeludnionych, często wilgotnych i słońca pozbawionych mieszkań, 52 dzieci rodziców ubogich. W roku następnym, 1883-im okazał się przyrost pewien ofiarności na ten cel, bo wysłano już 84 dzieci, i tak zwiększająca się corocznie ich liczba doszła w roku ubiegłym do 417, a zarząd kolonii miał do rozporządzenia swego ze składek powstałą sumę 4.811 rs., tak, że pozostał na rok bieżący zapas 619 rs.

Ofiarność publiczna przychodziła też wciąż poza składkami pieniężnymi z pomocą czynną. P. Walerya Trzetrzevińska z Janowa pod Nowym Mińskiem, obok różnych dogodności, stale świadczonych przebywającym w niej corocznie od zawiązania się instytucji dwóm partyom dziewczynek, darowała na własność kolonii wygodny dom murowany. P. Antonina Mieszkowska z Kozłowa w Pułtuskim zbudowała specjalnie dla kolonii obszerny dom pod lasem; p. Domaniewska z Szadkowie wzięła na swoje zupełną opiekę i koszt całkowity sześć dziewczynek; podobnie przyjęła na całkowite utrzymanie partyą dziewczynkę p. Karolina Temlerowa z Siennicy, a p. Felix Sobański z Bartnik pod Radziwiłowem partyą chłopców. Lecz nie jest to jeszcze cała lista ofiarności, gorliwie na korzyść kolonii letnich działającej. Uderza tu przytem fakt, u nas może rzadszy, niż gdzieindziej, i ztąd charakterystyczny, że ofiarność tu świadczona bynajmniej z czasem nie słabła, jak się to dzieje bardzo często, lecz tak wzrastała stale, że kiedy w roku pierwszym powstania kolonii przecięciowy koszt wysłania jednego dziecka wynosił rs. 20, w roku przeszłym spadł do 10 rs. i coś groszy, a dodać trzeba, że stan zdrowia dzieci był ogólnie wyborny; przyrost sił i wagi bardzo znaczny.

W bieżącym roku dziesięć miejscowości przyjmie małych letników: Janów i Siennica w pow. nowo-

mińskim, Leszno i Żyrardów w pow. błońskim, Łączne Wsie w pow. warszawskim, Bartniki w pow. Łowickim, Szadkowie w pow. sieradzkim, Kozłów w pow. pułuskim, Dłutów w pow. łaskim, Celestynów w pow. garwolińskim. Zaczyn tego dobroczynnego dzieła promotor ma przecież dla dalszego rozwoju kolonij letnich inne jeszcze życzenia i zamiary. Dr. Fritsche pragnie utworzenia kolonij letnich i dla dzieci tych rodziców średnio zamożnych, którzyby za niewysoką opłatą od 10—12 rs. mogli wysyłać dzieci swoje na wieś dla użycia zdrowotajnego ruchu na świeżym powietrzu; ale chodzi tu jeszcze o rzecz ważną: aby dzieci zdrowe nie łączyły się z chorem, dla których powinien być urządzone zakłady odpowiednie. Posiadanie przez instytucję kolonij letnich własnej nieruchomości w pobliżu Warszawy wielce by się przyczyniło do urzeczywistnienia tego pożytecznego zamiaru. Grunt już jest, od lat kilku na cel takiej instytucji ofiarowy, ale zabudowanie go odpowiednie wymaga funduszów, które zebrać dopiero potrzeba. Jak? Dr. Fritsche nie wątpi, że rzecz jest możliwa i da się skutecznie do przyszłego lata.

— Czarnym cieniem edukacyjnych stosunków naszego miasta są zabawy dla dzieci, urządzone w Ogrodzie Zoologicznym i nietylko pismo nasze zwracało się z tem do matek, przed kilku już laty wołając, że niema na świecie takiego celu, choćby najwyżej dobroczynnego, któryby usprawiedliwiał moralnie niezdrowe rozbawianie dzieci. Zaczyn redaktor „Biesiady“ zdanie to podzielał i jednocześnie z pismem naszym podnosił głos ostrzegający, że wchodzi się na złe tory. Dziecko i jego kształtowanie się moralne to *res sacra*, i niczem ono na posługę iść nie może, a raczej wszystko w naszych stosunkach życia powinno dążyć harmonijnie do osłaniania dziecka przed psującymi wpływami, zaś do takich zaliczy wychowawca każdy zabawy dziecka publiczne, dla niego specjalnie urządzone, o czem dziecko wie, że takie przeznaczenie mają, i przyucza się uważać to jako przynależność życia, aby się bawiło. *Zwierzyńca* pierwszy, w spekulacyjnych celach przemnożenia sobie dochodu, wprowadził to do nas przed kilku laty; zgromadzenie wioślarskie pospieszyło w jego ślady, i gdy zima kładła z koźliczności kres jednemu, psującemu dziecko, wyzyskowi, występował drugi, na szczęście, ze skutkiem mniej pomyślnym, lecz zła ta rzecz zapuściła korzenie, i oto z początkiem wiosny ogłoszono przez pisma o ogródku w Alejach, Faustynowie, gdzie dzieci bawić się mają — gdzie mają być bawione przez różne, na ten cel wymyślane dla zwabienia ich sztuki i sztuczki, gdzie więc zgromadzać się mają i tak, jak o *Zwierzyńcu* pisała niedługo „Biesiada“, będą tam grać w panów i panie — elegantów i elegantki, lustrując wzajem stroje swoje. Obok odezwy redaktora „Biesiady“ podniósł się wtedy w tem piśmie dobrym i głos jakiejś matki rozumnej, w przyszłość patrzącej, więc następstwa takiego rozbawiania dzieci pojmującej. Zarówno jak pismo nasze odzywał się on do matek niemal błagalnie, aby nie siały w serca dzieci złych ziarn rozbawienia i strojnicstwa, aby nie dały się chwycić w sidła, które zastawia na ich dzieci chęć zarobku, godziwa póty, póki tylko nie wkracza w niemoralność. A jak ta chęć uczepliła się dzieci, dowodzi fakt, że pewien fabrykant mydła chciał przy jednej z zabaw w *Zwierzyńcu* upiec też pieczonkę swoją i ogłosił, że będzie rozdawał dzieciom ozdoby wachlarzyki „z reklamą fabryki swojej“. Czyż to dzieci rozrządzać mają gdzie kupowane i jakie powinny być przedmioty, do ich użytku służące? Nie oglądałam tych wachlarzyków przesławnych i nie wiem zali nie były polecane tam mydła „toaletowe“ mydła z własnością udelikatniania płci?

Dziewczynka z wachlarzem „ozdobnym“ — to już karykatura smutna elegantki salonowej, której poważnie myśląca matka nie dopuści. Dziecko wybornie chłodzić się może każdym przedmiotem podatnym do tego, na przykład kawałkiem papieru złożonym odpowiednio, i to już jest takich zgromadzeń dzieci wadą ogromną, że czyhajaca tu na nie chęć zarobku pragnie go mieć jaknajwiększym i bezwzględny. Pragnienie to jest może w swoim prawie — w swoim prawie, którem

rzadzi handel, ale obowiązek to matek czuć, obowiązek to matek wychowanie rozumieć i dzieci swoje bronić przed tem, co im szkodę przynieść może.

— Pisma nasze prowincjonalne podnoszą głos domagający się ochron wiejskich, zabezpieczających dzieci w czasie, gdy matki są na robotach w polu, gdy zatem biedne maleństwa tułają się po wsi i jej okolicach bez żadnego dozoru. Ile już razy *Bluszcz* upominał się o to u pań wiejskich, aby przysły tu z pomocą i inicjatywą — obliczyć trudno, ponieważ rzecz się ciągnie przez lata, przez lata dzieci wiejskie, mniejsze topią się, palą, bywają narażone na wszystkie smutne następstwa opuszczenia, gdy obok tego dzieci starsze rozpróżniają się, psują — dziećmi moralnie. Notowało też przez czas długi pismo nasze okrutne skutki tego opuszczenia biednych dzieci, któremu przecież zaradzić można tak łatwo i kosztem tak małym, że nie nie usprawiedliwia tu kobiety wykształconej, w której pobliżu to się dzieje, jak okrutnie przekonywa świeża wiadomość, „Gazety Lubelskiej“ donoszącej „We wsi Borowcu w powiecie biłgorajskim, pozostawiona bez nadzoru dwuletnia córka tamtejszego właściciela, Matrona Koszałka, wpadła do Tanwi i tam utonęła“. Podobny wypadek miał miejsce we wsi Derylaki w tymże powiecie, gdzie utonęła również w rowie dziewczynka pięcioletnia. A czyż są to wypadki odosobnione i szczególnie zdarzające się w Biłgorajskim? Dzieją się one i dają muszą wszędzie z samej natury rzeczy. Przepisy rządowe dla ochron wiejskich, podawane przez pismo nasze wielokrotnie, wykazują jak małym trudem i kosztem urządzone one być mogą. Jedną obszerną jakas izbą, a jak w lecie, byle jaka szopa, wystarczy na to; ochraniarka zaś może być każda stara wieśniaczka rozsądna i znana z uczciwości, która zadawałaby się niewielkim zarobkiem za trud swój pilnowania dzieci, które w południe wracałyby na obiad do domu, a potem znowu szły do ochrony, gdzieby przebywały do zachodu słońca, to jest do skończenia robót dziennych. Lepiejby było niewątpliwie, aby ochraniarką była ta osoba wykształcona i pojmująca wychowanie, wiedząca jak ważne są jego wpływy; ale jest przysłowie francuzkie, dowodzące, że chęć tego, co jest lepszym, bywa często nieprzyjaciółką dobrego. Często to, co się zaczyna najskromniej, najprościej, rozwija się potem i kształci z czasem, co tu właśnie mogłoby mieć miejsce, bo nie wierzę, aby serca kobiet, naszych zwłaszcza, poczuwających się, jak nam to przyznają wszyscy, do wyższych obowiązków ludzkości, były z kamienia. Ochrona urządzona najpierwotniej pociągałaby niewątpliwie samym już instynktem niewieściem kobiety, któreby tu mogły wpłynąć na podniesienie się szczęśliwe tej instytucji i dać wsiom, jakimkolwiek sposobem, ochraniarki wykwalifikowane, patentowane. Stara piosenka śpiewa: „Chociaż to życie idzie po grudzie, jak mi Bóg miły nieźli są ludzie!“ i ja wierzę w to najmocniej, tylko potrzeba, aby *cinieźli ludzie* przyłożyli sobie czasem rękę do serca i poczuli, że ono bije przecież — że nie jest martwym i zimnym, zwłaszcza w piersiach młodych — w piersi „panienki ze dworu“. Powtarzam tu, że najszczerzowsze przepisy, obowiązujące przy zakładaniu ochron wiejskich znajdują czytelnicy naszego pisma w jego numerach z lat przeszłych.

— We Francji istnieje towarzystwo opieki nad dziećmi pod tytułem: „Union française pour le sauvetage de l'enfance“ i jak pisze zacna pani, poświęcająca się gorąco sprawie wychowania dziecka ubogiego, Paulina Kergomard, znaczna liczba nauczycielek należy do towarzystwa i, zajmując się jego rozwojem, wspiera je przez obowiązującą członków składkę. A jest ona bardzo niewielką i dobrze, że tak jest, bo przez to może liczyć więcej członków i wskutek tego większa liczba osób jest istnieniem towarzystwa zainteresowaną, przytem ziarno do ziarnka najlepiej, najpewniej tworzy miarkę. Towarzystwo francuzkie rozciąga przecież opiekę swoją nietylko nad dobrobytem fizycznym dziecka, czuwając również i nad moralną stroną jego

bezpieczeństwa i Juliusz Simon, który jest prezydującym, przedstawił w mowie swej ostatniej, jak Towarzystwo rozciąga działalność swoją w kierunku obrony dusz młodych przed złymi wpływami zepsucia, zarazy moralnej. Nawet wtenczas, gdy się to dzieje w rodzinie dziecka, Towarzystwo poczuwa się do obowiązku ratunku i Simon w ostatnim swem przemówieniu na zebraniu dorocznym wzywał wszystkie osoby, mogące mieć pod tym względem wiadomości „niewątpliwie“, aby dawały znać Towarzystwu poufnie o dziecku znajdującem się wśród otoczenia „niewątpliwie psującego“. Dzieci żebrzące, dzieci nie mogące uczęszczać do szkółek dla braku odzieży — to wszystko kategorie, nad którymi Towarzystwo ratunkowe opiekę swą rozciąga i którym z pomocą śpieszy. Dzieci zmuszone do żebrania, nawet na korzyść rodziców, są im przez Towarzystwo odbierane z mocy prawa, które za staraniem Simona zostało zatwierdzone przez rząd francuzki d. 24 Lipca zeszłego roku. W Marcu bieżącego roku Towarzystwo wystąpiło przed sądy w sprawie siedmioletniej dziewczynki, Alicji Augusty Mollet, którą ojciec i macocha wysyłali na żebranie, bijąc okrutnie, jeżeli biedactwo nie zdołało uzbierać tyle, ile od niej żądano. Wyrodney ojciec został skazany, zarówno jak i macocha, na trzynaście miesięcy więzienia, Towarzystwo zaś zajęło się losem biednego dziecka, któremu oddały je sądy.

— W Szwajcaryi, w kantonie Zurych, obchodzoną była w tym roku bardzo uroczyste rocznica urodzin Pestalozzi'ego i postanowionem zostało corocznie obchodzenie pamięci dnia, który dał ujrzeć światło życia znakomitemu pedagogowi. Akt ten wykazuje, nietylko cześć oddawaną mu wdzięcznie ale i uznanie ważności wpływów na szczęście i dobrobyt ludzkości.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXXXIV.

Nowy Don Kiszot czyli **Sto szaleństw**, krotchwiła ze śpiewami w 3 aktach, z muzyką Zygmunta Noskowskiego, *Alex. Max. Fredry* — przedstawiona w Warszawie poraz pierwszy w d. 22 Czerwca. (Nowy Teatr). **Oj mężczyźni, mężczyźni**, krotchwiła w 4 aktach, p. *Kazimierza Zalewskiego* — d. 25 Czerwca w Teatrze Letnim. — Tegoroczne teatru ogródkowe. P. Przybylski w „Wodewilu“ ze swojemi **Złotemi górami**, komedią w 4 aktach.

W latach pięknej jeszcze młodości, a w przystępie bardzo wesołego humoru i pustoty, *Fredro* ojciec rzucił na papier żart sceniczny, od podobieństwa głównej postaci do bohatera Cervantesa, *Don Kiszotem*, a jakbyśmy dziś powiedzieli, *Don Kichotem* nazwany. Sam nie miał pretensyi do podawania swego utworu za coś takiego, coby po sobie zostawić pragnął, i za życia też autora na żadnej większej scenie żartu tego nie wystawiono — istniał tylko w książce. Niema w tem nic złego, że go teraz wydobyto z książki i wprowadzono na scenę: nawet takie pamiątki, zwłaszcza młodocianej jeszcze muzy, gdy się po wielkich talentach zostaną, same przez się są miłe, i jak uciészne dzieciaki, pedantycznej krytyce zamykają usta. Miał *Shakespeare* swój *Sen nocy letniej*; dlaczegożby *Fredro* nie było wolno mieć *Stu szaleństw*? Zebrała się ich tam rzeczywiście cała setka: nocny najazd na karczmę, rozgardasz, drastyczne *quod pro quo* nolegowe, burmistrz dbały o swą cnotę, browar wzięty za zamkniętą niewinność, więzienie, przebranie się w suknie kobiece, ucieczka, błądzenie po lesie, gęś wzięta za kobietę, ofiarę przemocy, ponowne schwytanie i stawienie przed trybunałem sprawiedliwości — który nareszcie całej tej bajce jednej nocy daje łagodne, słodkie, w stylu epoki (1818—20) zakończenie zeznaną miłością i oczywiście, szczytem szczęścia — małżeństwem. Kto patrzy na

sztukę fredrowską jak na baśń, która nie chce być ani komedią, ani obrazem psychologicznym, ale igraszką rozochoconego humoru i wrodzonego dowcipu, ten, nietylko wybaczy Fredrze *Don Kiszot*, ale mu wdzięczny będzie za parę godzin przyjemnej, zdrowej wesołości.

Dla humoru ma *Don Kiszot* dobre chwile. Cała głuchota Kmotra w akcie I wyzyskana wybornie, z właściwą Fredrze łatwością wierszowania. Michał, przewany dla efektu „Pedrillem“, w tchórzostwie, kłamliwości i lokajskiej trwodze dobrze ujęty. Doskonały, choć przelotny i skutkiem tego dla publiczności, ślizgający się zwykle powierzchownie, jest rys w karczmarce uchodzącej przed niebezpieczeństwem, które jej grozi od własnych jej nerwów. Dbalność burmistrza o dobrą sławę rzetelnie go ośmiesza. Sam tylko *Don Kiszot* w pomysły swoim nie zastosowany do bajki: jest romantykiem poważnym, a powinien być, równie, jak sam Fredro w owej epoce, wesołym, rozigranym, młodości używającym, ale do czystej miłości, do odczucia wszystkiego, co dobre, prawe i szlachetne, zdolnym młodzieńcem. Baśń mogłaby przytem pozostać baśnią; ale romantyk w niej deklamujący poważnie o ludzkości, o miłości, o kobiecie, i poważnie robiący rzeczy śmieszne—musiałby stać się z sensata sowizdrzałem, jakim być powinien. Ciągnięty przez ojca do Zofii, dla której tylko wskutek *error facti* serce jego jeszcze otworzyć się lekka — mógł być w wędrownie swojej objawiać chwilami jeszcze najbardziej uroczy ze wszystkich rodzajów humoru: humor, pod którym drży troska serdeczna. Jeżeli już konieczne Karol miał być poważnym, to taka tylko jego powaga mogła nie być fałszywym tonem w sztuce. W utworze, który tylko dobrym humorem wytłómaczyć można, sam główny sprawca jest jak pień na humor nieczułym. Błąd to stanowczy.

Przedstawienie nadspodziewanie podniosło wartość *Don Kiszota*, a dokonała tego nie gra, ale scena sama z pomocą muzyki p. Noskowskiego. Jest jej dużo i dobrze, że dużo. Takie sztuki, które tylko za baśń uważać można, są jakby librettami do lekkich oper: dość przypomnieć dowcipne zdanie Saphira. Znacząca pisać będzie o muzyce do *Don Kiszota*; profan poprzestanie na wskazaniu bardzo pięknej piosenki Zofii, znakomicie prowadzonego chóru bab wiejskich w lesie i tańców. W przedstawieniu samem najlepszym był p. Śliwiński w Kmotrze. P. Dyliński jako Nowy *Don Kiszot* zromantyzował jeszcze bardziej romantyzm fredrowski i był sztywniejszym, niż na to sam text pozwala. P. Morozowicz w Pedrilu okazał więcej rozlazłości, niż humoru. Chóry poprawne. Tańce w I akcie do krakowiaka wcale nie pomysłowe: coś jak banalna szósta figura z kondredansa (podobno go już dzisiaj nie tańczą).

Pisał rzeczy lekkie Fredro: napisał krotkowilej p. Zalewski pisarz komedij poważnych, tendencyjnych, wcześniej już radził on sobie krotkowilnością. Jakie pięć lat temu dał scenie polskiej *Lisa w kurniku*, w którym więcej było krotkowili, niż komedii, ale przy krotkowili była i satyra. W nowym utworze pozwolił sobie p. Zalewski na zupełną już pohulanę. *Oj, mężczyźni, mężczyźni!* zjawia się prawie jednocześnie z lekką także komedią Lubowskiego *Przyjaciółka żon*, którą pan Zalewski, jako krytyk *Kurjera Warszawskiego*, gorąco pochwalił. Obaj zatem komedyopisarze warszawscy wchodzą, jakby równym krokiem, na nową drogę. Czy na niej wytrwają? Czy będzie to tylko krótka wycieczka dla odmiany, czy długa podróż? Odpowiedzą najpierwsze utwory obu autorów, jakie nam przyszłość teatralna przyniesie. Ja, osobiście, przewiduję krótką tylko wycieczkę i rychły powrót. Spodziewam się tego głównie po p. Zalewskim, po nim i dla niego, dla jego komedyopisarstwa. Lubowskiemu wolno tworzyć dalej w rodzaju *Przyjaciółki żon*; p. Zalewskiemu nie wolno już pisać więcej sztuk w rodzaju napisanej obecnie. Pisarz, zwłaszcza jako krytyk, dbał o moralność i czystość smaku obyczajowego, w tej krotkowili swojej moralność zamknął do komory, a smakowi obyczajowemu ciężką wyrządził krzywdę. W żadnej jeszcze sztuce

polskiej przed p. Zalewskim nie potrzeba było oddychać takim powietrzem, jakie wieje z trzeciego aktu krotkowili. Ten akt III jest trochę mniej moralny i gorzej obyczajowy od komedij Dumasa syna i Edwarda Brandesa, dla których p. Zalewski w swoim czasie miłosierdzia nie miał. *Mąż i żona*, starego Fredry są wobec tego aktu III utworem dla dorastających panienek. Oswajanie publiczności, którą nie sami przecież mężczyźni stanowią, z widokiem takich apartamentów i takich spraw, jakie się rozbijają u p. Amelii Tichard, pisarzowi moralnemu nie przystało. Cały ten krąg życiowy nie jest godnym sceny dbającej o swą godność. Krzyczymy na Francuzów, że nas psują: niech mi pan Zalewski w ogrodzie literackim pierwszorzędnym pisarzom francuskim pokaże taki tulipan jak akt III jego krotkowili. Taki apartament z takim meblem, jak Amelia Tichard, z takimi wypadkami i czynnościami, z taką atmosferą, to już nie sztuka, ale sztuczka zdobywania śmiechu. Gdy się jest surowym dla innych, trzeba być surowym i dla siebie, — trzeba opierać się nawet pokusom bezwiednego ducha twórczości, jeżeli tu wolno o twórczości mówić. Gdyby jeszcze sama Tichard i jej berejter Daum! Mielibyśmy tylko złudzenie gry w ogródku przy piwie, — złudzenie, którego i ja sam doznałem po III akcie, gdy się mimowoli obejrzałem, załim rzeczywiście jeszcze w teatrze. Ale ci dwaj szlachcice oszukujący żony, kupujący sobie milczenie, a niezapominający o rezerwie na przyszłość — te pieniądze, te pieniądze, w takim apartamencie! Czy jest w tym choć żdźbło, nie mówię już dobrego smaku, ale choćby tylko zwykłej, elementarnej przyzwoitości?

Po literackim świątku Warszawy krąży wieść, że jakiś przedsiębiorca berliński, poznawszy krotkowilę p. Zalewskiego, niezmiernie ku niej rozgorzał i napisał do autora list wróżący mu w razie oddania sztuki teatrom niemieckim, nie jakieś tam liche setki i tysiące, ale całe sto tysięcy marek dochodu z tanyemy. Bardzo być może, iż się przedsiębiorca nie myli i że sztukę wprowadzi do Niemiec, jeżeli autor propozycję jego przyjmie. Gdyby ją mógł zupełnie od nas wywieźć, nie zrobiłby tem krzywdy nikomu, — ani autorowi, ani publiczności, ani literaturze. Literackiej wartości, z wyjątkiem początku aktu I i zakończenia IV krotkowila nie ma i w literaturze nie zostanie. Od krotkowili nie wymaga się charakterów; alez trochy istot ludzkich i ludzkiego mechanizmu działania najszczerza nawet pohulanka sceniczna potrzebuje. W krotkowili p. Zalewskiego są tylko dwie psychologicznie ukształtowane postacie: byłby adwokat Kretoński i owa-to Amelia Tichard; trochę wreszcie Cinciurkiewiczowa. Reszta trzyma się tylko konceptami, bądź własnymi, bądź sytuacyjnymi. P. Zalewski, któremu słuszenie podobowało się w *Przyjaciółce żon* przedstawienie niepionowstwa panów mężów, nie może być zadowolonym ze swego Zygmunta, ani ze swego Stefana: takie to puste, czerce, jakieś z blachy, brzęczące tylko za dotknięciem, ale w sobie samem martwe. Cała intryga — a właściwie całość wypadków, bo wszyscy tu, intrygując nawet widza, intrygują tylko samych siebie — opiera się na fałszu w początku, o którym potrzeba zapomnieć, aby w dalszy ciąg uwierzyć. Dwa listy otwarte, które obie żony zastają na stole, zaraz po przyjeździe do Warszawy, w mieszkaniu swego kuzyna, nie mogły w nich, bez logicznego *salto mortale*, obudzić zazdrości: mogły tylko zwrócić podejrzenie na gospodarza mieszkania, starego kawalera Bisturkiewicza. Myśl raz w tym kierunku puszczona mogła już wywołać, nienaciągane, ale bardzo proste objawy psychiczne, wśród których bohaterem krotkowili, czy komedii byłby już Bisturkiewicz, w sam raz pod tytuł *Oj, mężczyźni, mężczyźni!* Jest pod tym samym tytułem sztuka niemiecka (zdaje mi się, że Birch-Pfeifferowej) *O, diese Manner*, w której przygody uymbolizowane w samej nazwie wikłają się jeszcze z narzekaniami kobiet na ten nie dobry ród mężki. Oczywiście, że w ostatnim akcie niedobrzy mężczyźni stają się najukochańszymi. W samym tytule już jest sarkazm. Krotkowila p. Zalewskiego ma tytuł zupełnie niewłaściwy: wypadało ją raczej nazwać *Oj, te kobiety, kobiety!* — jakście wy niemądre i nieprawdziwe, nie z życia

ale z konceptu wzięte, — żeście takiego piwa narzeczy!

Nie pójdę śladem p. Adama Krechowickiego, pisarza, mającego już dobre imię w literaturze, i nie będę robił studyów nad krotkowilą p. Zalewskiego. Studium lwowskie, przedrukowane w *Kurjerze warszawskim*, sprawiło na mnie wrażenie utworu estetycznego, pisanego bez natchnienia: fantazyi dużo, przekonania mało, słów najwięcej. Ponieważ w przeświadczeniu mojem krotkowila p. Zalewskiego, w literaturze nie zostanie, obowiązek więc swój uważam za dostatecznie spełniony przez powyższe uwagi. Dodam tylko jeszcze, że wprawa pisarska i robocza — niestety, i w arcydziełach musi być robota! — p. Zalewskiego zapewniła jego sztuce zręczny układ sceniczny, a dowcip, styl w komizmie wyrobiony, dosadność wyrazów, czystość języka — stanowią niezaprzeczone zalety dialogu. Publiczność bawi się dobrze. Podczas trzeciego aktu kobiety trochę się skąpiej śmiały, a po trzecim — pozostały na miejscach. Matki wiedzą już od krytyki, że sztuka nie jest dla panienek: jest zatem dla matek. *Mein Liebchen, was willst du noch mehr?*

P. Rapacki zagrał dobrze Kretońskiego, zwłaszcza w akcie III-m, popisowym. Szlachtą z Hrubieszowskiego byli pp. Tatarkiewicz i Wolski. Role ich żon wzięły na siebie pp. Wisnowska i Barszczewska. Nie mamy o nich nic do powiedzenia. Starym kawalerem, tylko zbyt miękkim, rozlanym jakimś, niedołężnym, był p. Frenkiel. P. Niewiarowska była dobrą matką Cinciurkiewiczową. P. Leszczyński oddawał cyrkowe sztuki Dauma z temperamentem. P. Krogulskiemu wyjątkowo udał się Hippolit, lokaj Bisturkiewicza; w białej kamizelce było mu wcale do twarzy. Amelii Tichard podjęła się p. Lüdowa. We Lwowie — a wiemy to z dobrego źródła — panie w ogóle nie chciały grać, jeżeli rola ta obciąża nie będzie. Czy i w Warszawie brano się do nożyc? — nie wiem. Chcąc być radykalnym, trzeba by całą rolę ze sztuki wyciąć. Gra p. Lüdowej była miarkowana względem na publiczność.

Tego roku mamy w Warszawie tylko dwa teatry ogródkowe. W Bellevue występuje trupa p. Ł. Kościeleckiego z Łodzi, jako „Teatr Łódzki“, w Wodewillu — trupa poznańska p. Skirmunta i Janowskiego. Tej ostatniej należy się wszelkie poparcie, a z wszelkiego najlepszem zawsze będzie uczęszczanie za biletami płatnemi; na bezpłatne krzywią się pocziwcy i mają słusność. Poznańscy odznaczają się starannością i przyzwoitością gry w sztukach i scenach drażliwych; posilają kilka sił mających już prawo do nazwy zdolności; zwłaszcza kobiety, p. Czaplińska, p. Morska, p. Siedlecka, zwracają na siebie uwagę. Wystawa i wystawienie w ogóle dobre. Leszcz okazał się już takim nieprzyjacielem teatrów ogródkowych, że za to mają one prawo do trochy przyjaźni od ludzi. Może się i pogoda poprawi.

Zajrzał i tego roku p. Zygmunt Przybylski do „Wodewilu“, z nową sztuką swoją — przedtem już wystawioną we Lwowie. Sztuka nowa, ale ze starymi dziurami. Wady twórczości p. Zygmunta Przybylskiego z *Niebieskich ptaków* powtórzyły się i w tych naftowych *Żółtych górach*. Rzecz bardzo a bardzo słaba: obserwacyi żadnej; miłość od dwunastego roku życia; przerzucanie się od jednego do drugiego ideału serca; intryga pomiędzy młodymi, prowadzona przez jeden z dwóch, nie powiem: czarnych, ale brunatnych, charakterów sztuki; świdry do nafty, i księgi, i obliczenia szlacheckie, i całe wprowadzenie w ruch tej gorączki złota, i całe *Żółte góry*, — niezmiernie dziecinne. Autor widocznie nie zastanawiał się nawet nad budową swej sztuki; szło mu tylko o dowcipy i koncepta. Jedynie ujdzie jeszcze para Trzaskiewiczów: jejmość nie żartuje, jegomość drży, ale magnifice swojej zawziętości ocalenie od ruiny, do którejby go *febris aurea* doprowadzić musiała, gdyby nie czuł nad sobą pięciopalcowego przykazania. W sztuce jest mnóstwo osób. Wchodzi coraz bardziej w modę takie przeładowywanie dramaturgii gębami. Szczerze mi żal talentu p. Przybylskiego, bo go niewątpliwie miał, choć dopiero tylko w załączku, kiedy pisał swojego *Wacka i Wicka*. Może jeszcze czas; może warto się

jeszcze namyślić, wejść w siebie—i zbierać, skupiać, silnemi obściskami ścisnąć to, co w rozproszeniu zmarnieć musi.

Stanisław Krzeniński.

LIST Z ANGLII.

Londyn, 15 Czerwca.

Jestesmy tu w pełni letniego karnawału. Z jednej strony ojcowie narodu obradują w Parlamencie, z drugiej kobiety, młodzież bawi się—ściągają, tańczą, zapełniają teatry i sale koncertowe, które o tej porze starają się o nowości, o ściąganie sobie sił najlepszych. Tych nie brakuje tu nigdy, bo Albion to wielki pan i ma czym płacić za te uczty artystyczne; obecnie goście tutaj z przyjezdnych: Zofia Menter, Adelina Patti, Trebelli, węgierska prymadonna Etelka Gerster, Sarasate. Są obaj Reszkowie, jest Pinkertówna, która debiutowała bardzo szczęśliwie w Gounod'a *Romeo i Julietta*, w malej, ale wdzięcznej roli pазia Stefano. Jan Reszke śpiewał jako Romeo, Edward był ojcem Laurentym, a obaj bracia są tu bardzo cenieni. Piszą się zawsze „de Reszke“ i bywają w najlepszych towarzystwach angielskich; przecież sławę naszej muzykalności najwyżej podnosi Paderewski, który dał z rzędu trzy koncerty w wielkiej sali *Saint James Hall*, zawsze pełnej po brzegi, skoro afisze ogłosiły jego nazwisko. Ostatni raz grał Beethovena sonatę A opus 110, dalej Hajdna, Liszta, Wagnera. Zakończył walcem Szopena nad program, przy ogromnych oklaskach. Obecnie już go tu niema: wyjechał do Paryża, gdzie ma grać w koncercie Saint-Saënsa, ale obiecał wrócić zaraz i wróci niewątpliwie, bo nie w nim niema cygana artysty i jest-to, jak się tu mówi, gentleman w całym znaczeniu tego wyrazu.

Pisząc o muzyce tutejszej, należy wspomnieć, że wyszła świeżo, napisana przed Edgara Brinsmead'a, *Historja Fortepianu*, podająca w zajmujący sposób wszystko, co wiedzieć można o tym instrumencie: jak fortepian powstał, jakim był pierwotnie, jak się udoskonalił i czy dalej w tym kierunku może się jeszcze posunąć? Jest on spadkobiercą harfy, lutni, i czy też będzie miał w zakresie użytku muzyki domowej następcę? Z punktu widzenia handlowego wyrób fortepianów wytworzył gałąź przemysłu bardzo ważną, zajmującą „całą armią“ robotników wyższych i niższych. W samym Londynie wyrabia się ich rocznie 35.000, a jak szybko jest rozpowszechnienie tego instrumentu, dowodzi fakt, że sto lat temu istniały tylko cztery jego fabryki: Erard'a, Pleyel'a, Broadwooda i Stodart'a.

Z wiosną przecież wszelkie instrumenta milknąć mogą, bo słowik śpiewa. Wiosenne przebudzenie się natury wzrusza wszystkie, w piersi ludzkiej złożone, zasoby muzykalności i poezji. U was tam grają nocami po łąkach, po pastwiskach fujarki, ligawki; na Południu: we Włoszech, w Prowancyi, pono i w Hiszpanii, ludzie jeszcze obchodzą coś jak święta Flory, Cerery. I tu nawet u nas „Jack in the Green“—Jaś w zieleni, odbywa wesołe wjazdy do miast, zwłaszcza prowincjonalnych. Z uderzeniem godziny 12-jej w południe zamykają się szkoły i sklepy, o 1-jej oddział dragonów ukazuje się, jakoby robiąc miejsce potężnemu jakiemuś gościowi, za nim policja konna, korporacje rozmaite, reprezentacje miasta, a dalej dopiero wozy umajone zielenią, które ciągną konie przystrojone również w gałęzie zielone, we wstęgi. Przemysłowcy, fabrykanci, robią sobie z tego reklamę, średniowiecznie udekorowaną, a ulice natłoczone są ludnością, nie tylko miejscową, ale i z okolicznych wiosek. W Liverpoolu odbywa się to bardzo suto i wspaniale; reprezentacja całych fabryk na wozach. Tego roku był pyszny wóz taki jeden, pelen dzieci i kwiatów; była też tu rze-

czywiście wiosna, uśmiechająca się wesoło do świata.

Ale estetyk i krytyk sztuki, za młodych swych lat poeta, Ruskin, chciał, aby święto wiosny miało charakter więcej poetyczny, zapragnął, aby nie skupiało się tylko w miastach i wpływało na rozbudzenie poczucia piękna w ludzie wiejskim—w kobiecie, ale nie udało mu się tego dokonać i zwrócił się z myślą swoją tam, gdzie przy pewnym już wykształceniu umysłu i wyobraźni nastroja się poetyczniej—do szkoły miejskiej dziewcząt na przedmieściu Londynu Whiteland—do Whitelands College, i tam-to powstał związek stowarzyszenia dziewczęcego królowej Maju, rozszerzony obecnie na całą okolicę. Byłem tam tego roku w dniu 1-go Maja i patrzyłem z wielką przyjemnością jak dziewczęta miejscowe zgromadziły się o bardzo wczesnej godzinie poranku dla przystrojenia kaplicy szkolnej wieńcami kwiatów i zieloności, jak potem wróciły tam znowu tworząc processyą z królową swoją na czele, Kasią Greenway, i po niedługim nabożeństwie wyszły również w processyi, zwracając się do domu szkolnego, gdzie w najobszerniejszej sali lokalu nastąpiła abdykacja z dorocznej godności. Dziewczę, bardzo miłe i ładne, zdjęło najpierw z powagą pewną koronę z różowego kwiecica jabłoni z główki, uczesanej bardzo skromnie i włożyło w to miejsce wianuszek niezapominajek, co przedstawiało bardzo wdzięcznie symbol niezapomnienia nigdy o tem, że ją zdołała niegdyś godność istoty czystej i uroczej.

Wtedy przystąpiono do wyboru tegorocznej królowej przez głosowanie, a następnie nowo wybrana w orszaku kilku swych dam honorowych przeszła do przyległego alkierza, gdzie ubrano ją w białe szaty i włożono na głowę koronę, także z kwiecica jabłoni, i wprowadzono napowrót do sali, gdzie zajęła już miejsce na tronie. Wtedy wystąpiła księżna Albany i włożyła jej na szyję złoty łańcuszek ze złotym także krzyżem, a wtedy rozpoczęła się bardzo wdzięczna ceremonia złożenia królowej hołdu przez jej dwór i orszak przyboczny, aż uroczystość zakończyła się wesołym tańcem wszystkich dziewcząt wokoło zielonego drzewa Maju.

W Irlandyi, w mieście Kork, uroczystość podobna odbywała się także w budynku szkoły dziewcząt, a aktowi temu przewodniczył biskup miejscowy. W wielkiej sali, przybranej w kwiaty i zieleni, zgromadziły się dziewczęta i rodzice, publiczność, zajmująca się tą poetyczną instytucją. Nowo wybraną królową jest dziewczę szesnastoletnie, Fanny Julien, o której powiedziała przełożona szkoły miejskiej, że otrzymała tę godność, nie dla talentów i zdolności swoich, ale dla niezmiennego poświęcania się obowiązkowi, dla gotowości wspomaganie zawsze tych, którzy pomocy potrzebują—dla siły charakteru, jednającej jej szacunek wśród towarzyszek. Dziewczka musi być niezamężną, bo towarzyszki owe złożyły się dla niej na białą sukienkę królowej Maju, a gdy ukoronowano ją wieńcem róż polnych, lady Arnott, stojąca na czele miejskiego komitetu uroczystości, wręczyła jej dar Ruskina, to jest włożyła na nią złoty łańcuszek z krzyżem, bardzo delikatnej artystycznej roboty, bo był on całkowicie niby upleciony z kwiatów, pączków i liści róż polnej. Lady Arnott dodała od siebie bardzo wytwornie oprawną książkę: „Queen of the air“ na której pierwszej karcie białej stał napis:

Niech dobro i piękno będzie twoim celem,
Choćby losu ciężkie przygniotło cię brzemieniem.
Czystość serca zawsze jest serca weselem:
Niech dobro i piękno będzie twoim celem,
I nie da się nisko osunąć na ziemię.

Po koronacji przemawiała do królowej obranej królowa abdykująca, Marysia Walker. Skarb królowej Maju zbogacił się za czasu jej rządów przez otrzymane dla założenia gabinetu nauk przyrodniczych dar okazowy rodzimego złota, srebra, ametystu, berylu, szacownych kryształów oraz różnych cennych minerałów. Orszak królowej złożony jest z 84 jej towarzyszek; zgromadzeń dla celów nauki było sześć; inne zebrania miały za

przedmiot rozrywkę lub pracę ręczną, śpiew chóralny, w którym kształcenie się kładzie Ruskin za jeden ze szczególnie zaleconych zajęć dworu *Królowej Maju* i z tego względu dziewczęce to stowarzyszenie bardzo się zbliża do waszej warszawskiej *Lutni*.

Tylko tu zakres jest owiele szerszy, bo obejmuje i rozwijanie umysłu przez czytanie dobrych, kształcących książek, pomoc siostrzaną w trudniejszych chwilach życia, podtrzymywanie się wzajemne na życia tego poziomie wyższym. Gdy doda się do tego działanie innych stowarzyszeń, które Irlandka, dziewczyna czy kobieta zameżna, spotyka na drodze swojej, posuwając się w lata, jak: *Stowarzyszenie domowego przemysłu*, *Liga przemysłowa*, występuje przed oczy obraz niezmiernie ułatwionego istnienia kobiety pod względem jego bardzo ważnych obowiązków rodzinno-ekonomicznych i zazdrościć tego można społeczeństwu tamtemu. Stowarzyszenia dobre są jak kadry dobrze dowodzonej armii: gdy tam raz wstąpisz, przepisany regulamin rządzi tobą i każe ci maszerować w kierunku wytkniętym.

Miedzy nowościami literackimi chwili bieżącej znaczne miejsce zajmuje w tym roku poezya. Anglia lubi dumnie nazywać się ojczyzną wielkich bardów, ojczyzną Byrona, Shakespeare'a, Waltera Scotta i mimo prądów realizmu, który i tu zawiewa, ludzie kochają zawsze i czczą poetów swoich, których dzieła znajdują się w każdej biblioteczce domowej, do czego dopomaga wielce rozumny spryt wydawców, mnożących do liczby nieobrachowanej tanie wydania starych i nowych pisarzy. Doprowadzone do cen możliwie najniższych, i mimo to wcale ładnie prezentujące się oku, z dobrą korektą, z odpowiedniami przypiskami, rozszerzają one w klasach czytelników niższych smak dobry i znajomość literatury swojej, a niezmierna ilość rozechodzących się egzemplarzy tych wydawnictw tanich sprawia, że wydawcy nie tracą, a ogół zyskuje na wykształceniu estetycznym, na wyszlachetnieniu myśli. Świeżo wyszły tu dzieła Keatsa, ale już nie w edycji popularnej: „Poetry and Prose by John Keats“, a zbiór to jest najpełniejszy z wydanych dotąd, z dołączeniem listów poety, między którymi wiele ciekawych interesujących listy do narzeczonej, która nigdy nie została małżonką, bo Keats był już wtedy bardzo chory i wiedział, że umrzeć musi. Listy te, stanowiące tom cały, wykazują miłość najgorętszą, która przecież zaczyna się czuć coraz silniej miłością bez nadziei, zając muszą najchłodniejszego nawet czytelnika, bo wie on, że romans ten, jak rzecz nazwać można, to nie fikcja literacka, ale prawda życia okrutna. Narzeczoną poety, Fanny Browne, listy te przechowywała jak relikwie, a choć po śmierci poety za mąż z czasem poszła, choć została matką licznej rodziny, ceniła je zawsze jako drogą pamiątkę pierwszego ukochania swego i nie chciała oddać jawności publicznej. Siedmdziesiąt lat upłynęło od chwili, w której pisany był list ostatni; czytelnik przecież tak się wzrusza przy czytaniu, jakgdyby działo się to dziś—jak gdyby żył dotąd ten kochanek namiętny i rozbołały, któremu anioł śmierci, zbliżającej się powoli, zagradza drogę szczęścia.

Wyszedł tu również w tym czasie tom poezji Tennysona, lorda Tennysona, bo Anglia umie cześć poetów swoich i obdarza ich honorami najwyższymi, jako dobrze zasłużonych sprawie ogółu. Czytając ten zbiór, dziwić się trzeba, jak ten człowiek, który daleko poza sobą zostawił młodość, tak umie czuć żywo i posiada zawsze nie zatracony dar szlachetnego uczuć tych wyrażenia. Wiersz pierwszy z kolei: „Demeter and Persephone“ dał tytuł zbiorowi, jakkolwiek nie charakteryzuje on bynajmniej, ani kierunków myśli poety, ani nastroju jego uczuć. Do rzędu najpiękniejszych i rzeczywiście pięknych należy wiersz „Happy“ (Szczęśliwy) godny autora „Rispah“, jak tu wyrażają się krytycy, przypominając wspaniałą piękną, z tematu biblijnego napisaną poezją, która niegdyś stała się podwaliną sławy i popularności Tennysona.

Jednocześnie niemal z książką Tennysona wyszło tu ostatnie, pośmiertne dzieło Roberta Browninga, niewątpliwie największego, z tegocze-

nych, poety angielskiego, którego pamięci zostalem względem was dłużny, bo pisać o nim niełatwo—miałto i tłumaczyć z niego cośkolwiek, gdyż był to talent przy wysokim nastroju, wysokim polocie myśli zawili i niejasny. Wszystkie poezye Browninga są pomyślane głęboko, filozoficznie — są przytem pełne uczucia i podniosłej fantazyi, ale fantazyja ta właśnie przy górnosci swojej jest niejasna, w obrazowaniu często ponura, lub uciekająca w jakieś mgliste przestwory spekulacji filozoficznej. Ostatnia jego książka: „Asolando; Fancies and Facts“ mieści w rozdziale końcowym: „Disports at Asolo“ wiersz, mogący być epitafem na jego grobowcu, który ojczyzna dała mu w panteonie swoim, w Westminsterze, gdzie chowają się zwłoki najzasłuższych synów Wielkiej Brytanii, w miejscu zwanym w Anglii „Poet Corner“, kącik poetów. „Utoczystość ta odbyła się w ostatnim dniu ubiegłego roku, dnia 31 Grudnia, a gdy wnoszono tu zwłoki poety, chór żałobników śpiewał jako hymn pogrzebowy poezyją jego żony Elżbiety, Barrett z domu, poetki także bardzo szlachetnego i wysokiego nastroju myśli, którą Anglia uznaje za największy talent niewieści ostatnich czasów. Umarła ona już dawno, w 1861 r., po piętnastu latach małżeństwa; poeta nie pozostał przecież samotnym, i śmierć wzięła go z domu syna, który posiada w Wenecyi pałac, i tam-to zamknęły się oczy wieszczki, którego prochy wróciły przecież do ojczyzny dającej mu honor pogrzebu narodowego, kosztem publicznym. Końce całunu nieśli najpierwsi mężowie nauki i literatury angielskiej. Tennyson, już sędziwy bardzo, bo liczący rok 80-ty, reprezentowany był przez syna. W orszaku tym znajdowało się i kobiet kilka, głównie przecież należących do rodziny. Hymn wspomniany zaczyna się od słów: „Co trzeba nam dać naszemu ukochaniu?“ a każda zwrotka się kończy: „Dał (Bóg) swoim ukochanym sen“. Przysięgam wam wkrótce tę piękną poezyją, jeżeli przełożyć ją wierszem potrafię.

Do rzeczy zajmujących i godnych poznania należy tu towarzystwo, którego celem jest „wnoszenie piękna w domy ludu“ *Kyrle Society*. Wytworzyło się ono z myśli kobiecej. Miss Miranda Hill, o której, jak wiem, niejednokrotnie pismo wasze wspominało, rzuciła w liście pisanym do przyjaznej sobie osoby myśl tę, która była nasieniem, padającym na grunt dobry. Obecnie *Kyrle Society* liczy znaczną ilość członków, tak mężczyzn jak kobiet, dzielących się w zadaniu swoim na cztery galezie, wszystkie jednakowej pożyteczności: *The Decorative Branch* ma za zadanie ozdabianie mieszkań ludzi ubogich, oraz ich klubów i lokalów stowarzyszeń, przez ładne obrazy, malowanie ścian, obdarowywanie krzewami i kwiatami, mogącemi się tam mieścić. Gałąź druga: *Open Spaces Branch* (otwartej przestrzeni) stara się o zapewnienie ludowi miejsc obszer-nych na świeżem powietrzu, na użytek gier dla dzieci, i miejsc przyjemnych zebrań dla starszych, to jest placów i parków; niedopuszcza nielegalnego zabierania na użytek inny miejsc takich, czuwa nad zabudowaniem placów miejskich, zapatruje szpitale i domy zarobkowe, oraz mieszkania ludu, w kwiaty i rośliny, które się tam mogą utrzymać. *Musical Branch* organizuje chóry śpiewów między robotnikami i dziećmi klas ubogich, urządza koncerty w salach szkolnych i salach zabaw ludowych, oraz tworzy orkiestry, przeznaczone do grywania bezpłatnie w miejscach zebrań i zabaw ludowych.

Literature Branch przesyła książki i czasopisma do szpitali i domów zarobkowych do miejsc zabaw ludowych; zakłada w dzielnicach zamieszkałych przez klasy pracujące wypożyczalnię

książek, dzielących się na oddziały biblioteczne: czytania naukowego i czytania przyjemnego. Pilną jest też tutaj uwaga Towarzystwa, aby powieści, czasopisma, i przedmioty poddawane tak ludowi czytania nie były antyreligijne, nie psuły obyczajów ludu przez obrazy rozpasania materialnego. Bardzo piękną w tym zakresie myśli była mowa prezydującego przy otwarciu stowarzyszenia, Artura Blackburne.

Stowarzyszenie podobne powinno istnieć wszędzie: w każdym mieście większem i mniejszem, w każdej parafii wiejskiej, z rezydencją zarządu we wsi kościelnej. Co oświaty, co podniesienia, uszlachetnienia myśli ludzkiej przynieść może stowarzyszenie takie! To trzeba przyznać Anglikom, że umieją być miłośnikami nie tylko w zakresie odziania nagiego, nakarmienia głodnego. Duch łaknie i pragnie nie mniej, niż ciało, i co za zasługa napoić go i nakarmić wodą życia czystą, strawą myśli zdrową i pożywną!

Czy wiecie, że powieść Sienkiewicza *Ogniem i Mieczem* została przełożoną na język angielski w Ameryce? Talent Sienkiewicza będzie mógł teraz zyskać i zyska niewątpliwie rozgłos szerszy, bo spodziewać się można, że przekład amerykański dostanie się tu przez Atlantyk.

O Stanleyu i Eminie Baszy pisma wasze, jak wogóle wszystkie, podaje ciągle szczegółowe wiadomości, lecz może to was zainteresuje, że narzeczona Stanleya Dorota Tenant, postanowiła, a nawet uczyniła warunkiem małżeństwa, towarzyszenie mężowi wszędzie, gdzie na dłuższy pobyt się uda, choćby z powrotem do Afryki. Na usiłowanie rodziny odwiedzenia jej od tego zamiaru odparła dumnie: — „Gdzie jest mąż, tam powinna być i żona!“... Krótka, lecz dzielna odpowiedź i kobiety angielskie myślą dla niej o jakimś pamiątkowym darze ślubnym.

Wkrótce napiszę wam sprawozdanie z literatury angielskiej w kierunku fikcyj powieściowej — zatem do niedługiego pogawędzenia z wami.

August.

Z bieżącej chwili.

— Według dzienników petersburskich ostatnie uroczyste zamknięcie konressu więziennego odbyło się uroczystie. Po mowie głównego naczelnika więzień, Gałkina Wrasskiego i w imieniu delegatów zagranicznych, przemawiającego delegata francuzkiego, Herbetta, i szwajcarskiego, Guillaumea, ogłoszono postanowienie kongressu, iż kongres następny odbędzie się w Paryżu, w 1895 roku. Delegaci zagraniczni wyjechali wieczorem statkami parowymi: „Topelius“ i „Uleo“ do Wyborga, aby nazajutrz oglądać wodospad Imatry, a następnie udać się pociągiem nadzwyczajnym kolei do Helsingforsu.

— Ministerium dóbr Państwa wyznaczyło 6.000 rs. na koszt wysłania za granicę specjalistów, w celu zbadania zakładów naukowych ogrodniczych dla zastosowania powyższych wiadomości przy wykładach sadownictwa. Wystawa Ogrodnicza odbędzie się w bieżącym roku w Petersburgu, w ujeżdżalni Mikajewskiej. Otwarcie nastąpi d. 5 Października a trwać będzie do d. 22. Program wystawy obejmuje działów dwa: owoce, szkółki, warzywa, nasiona, winogrodnictwo, uprawa tytoniu, chmielu, bawełny,

morw, zioła apteczne, rośliny włókniste i oleiste, przemysł ogrodniczy i technika ogrodnicza.

— Według krakowskiej korespondencji *Słowa* wyprowadzenie zwłok Mickiewicza nastąpi d. 4 Lipca o godz. 9 rano ze składów kolei Północnej i pochód postępować będzie ulicą Warszawską, placem Matejki, ul. Basztową, Sławkowską, przez rynek koło kościoła Panny Maryi. ul. Grodzką, placem Bernardyńskim aż do stoku Wawelu. Cała ta droga będzie wyznaczona słupami, połączone mi między sobą wieńcami zieloności, a na szczycie ich powiewać będą flagi żałobne na przemian z kolorowymi. Słupów tych nie będzie tylko na ulicy Sławkowskiej, Grodzkiej i w Ryńku, ponieważ tu przyozdobienie drogi pozostawiono uczuciu i pomysłowi właścicieli domów, którzy tego pragnęli, życząc sobie własnym kosztem i gustem tego dokonać sposób możliwie najwspanialszy. Na placu Matejki, w miejscu gdzie ulica Basztowa łączy się ze Sławkowską, oraz na Placu Bernardyńskim staną łuki tryumfalne. Oprócz tego w Ryńku i w licznych miejscach drogi ustawione będą wysokie, ozdobne kolumny a na nich wazy z gorejącymi płomieniami. Na Placu Matejki, w Ryńku na Placu Bernardyńskim, wzniesione będą ozdobne trybuny dla widzów.

Karawan sześciokonnny zbudowany został według planu p. p. Lewandowskiego rzeźbiarza, Talowskiego architekta, oraz malarzy Stasiaka i Stachowicza. Będzie on miał kształt piramidy, wysokiej 2 i 50 centm. z ukrytymi kołami i ściętym szczytem, gdzie stanie trumna. Udrapowany zostanie draperią ciemno-purpurowego pluszu, z festonami kwiatów świeżych, przeważnie polnych, wśród których również będzie umieszczony obraz Matki Boskiej. Po nad trumną wzniesie się baldachim także z ciemno-purpurowego pluszu, z bramowaniem złotem, umocowany on będzie tak, że pozostanie po nad trumną, gdy zdjęta i w pieszym pochodzie niesioną będzie.

O godzinie 8-ej rano zbierze się oczekujące na trumnę przy ulicy Warszawskiej duchowieństwo, rodzina Mickiewiczów, członkowie wydziału krajowego, posłowie sejmowi, prezes Akademii Umiejętności, rektorowie dwóch uniwersytetów Krajowych i politechniki lwowskiej, kurator instytutu Ossolińskich, prezydenci Krakowa i Lwowa. Przed karawanem i orszakiem duchowieństwa postępować będą wedle postanowionego porządku deputacje z wieńcami i sztandarami. Będą się znajdować między niemi: deputacja przybyła z Paryża od „Collège de France“ i z Bolonii od Instytutu tamtejszego. Mowy będą dwie: D-ra Adama Asnyka i professora St. Tarnowskiego.

Po ich ukończeniu Ksiądz Kardynał Biskup Krakowski ukaże się w asystencji kapituły katedralnej i wprowadzi zwłoki do katedry, gdzie umieszczone będą pod baldachimem wśród nawy głównej. Podczas nabożeństwa, które odprawi Ksiądz Kardynał, będzie wykonane *Requiem* Mozarta przez połączone chóry Lutni, Towarzystwa Muz. i Sokoła, oraz chórów Teatru. Gdy trumna zostanie umieszczona na sarkofagu, groby i obrzęd pogrzebowy ukończonym, krypta zostanie zaraz zamknięta i dopiero nazajutrz otworzą ją dla odwieczających trumnę.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 4-ty i 5-ty Tomu II-go powieści pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. Przekład L. M.

TREŚĆ: O współudziale kobiet w międzynarodowych kongressach więziennych, przez Alexandra Meldenhawera. — **Drugie Pokolenie.** Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicza. — **Popisy muzyczne.** — **Notatki pedagogiczne.** — **Przegląd teatralny**, przez Stanisława Krzemińskiego. — **List z Anglii.** — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty i 5-ty Tomu 2-go powieści, pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. — Przegląd mód. — 34 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Trzewiczek dla małych dzieci (robota drutowa i szydełkowa).

Rycina Nr 12 w Bl. Nr 24.

Trzewiczek wykonany cienką włóczką drutową na drutach stalowych. Rozpocząć od górnego brzegu na założeniu 72 o. tam i napowrót.—1 kolej: 1 o. zwyczajne, potem ciągle naprzemian: 2 o. odwrotne, 2 o. zwy., w końcu 1 o. zwy.—2 do 47 kolei jak poprzednia.—48 kolej zwy.—49 kolej: ciągle naprzemian drut owinać, 2 o. odwr. razem przerob.—50 kolej zwyczajnie.—51 do 63, jak pierwsze 47 kolei, ale w 54, 56, 58 i 60 kolei, z obydwóch stron środkowych 20 o. ujmować, czyli 2 o. razem przerob. Po zakończeniu 63 kolei, wykonać na tych 20 o. stopę tam i napowrót, pozostawiając inne nietknięte 2 koleje, w których o. na prawej stronie powinny wyglądać jak odwrotne, a potem 15 kolei jak zwyczajne, ale w ostatniej z tych 15 kolei po 2 pierwszych i przed 2 ostat. dla stracenia 2 o. razem przerob., następuje 24 koleje zwyczajne, ale w 8, 12, 16 i 20 w tymże kierunku co poprzednio należy dla stracenia 2 o. razem przerob. Następnie z obydwóch boków ostatniej kolei rzędu stopy zebrać o. na drut i wykonać tam i napowrót 25 kolei zwyczajnie, w 13 zaś kolei należy z obydwóch boków środkowych 9 o., 2 o. razem przerob., a w każdej drugiej z rzędu kolei wyjąwszy ostatniej w tymże kierunku, podobne stracenie o. wykonać. Potem połączyć o. pierwszej połowy z odpowiednimi o. 2-ej połowy po lewej stronie roboty, przyczem ciągle następne o. jednej i drugiej połowy razem przerabiać a następne ocz. odczepiać, przyczem również należy połączyć rząd pierwszych 63 o. Górny brzeg wykonać jak następuje: * 1 ścis. ocz. w następny rząd o., 4 pow. ocz., 1 słup. w 1 o. z tychże, 3 rzędy o. opuścić, od * powtórzyć, na koniec 1 ścis. łań. o. w 1 o. tejże kolei.

Pantofel. Robota szydełkowa.

Rycina Nr 35 i 36 w Bl. Nr 24. (Krój odwr. str. tabl. i r. XX, fig. 84).

Pantofel z włóczki koloru żółtawego oraz niebieskiej z podeszwą z tkaniny lnianej i ze skóry. Stopa wykonana podwójną nitką, żółtawej i niebieskiej włóczki, ozdobiona rüsą i kokardą z wstążki atłasowej koloru „vieil-or.“ Wykonać najprzód pokrycie podeszwy włóczką niebieską podług wzoru naturalnej wielkości ryc. Nr 35 i formy podeszwy. Rozpocząć od tylnego brzegu na odpowiedniej ilości oczek tam i napowrót.—1 kolej: (robić luźno) ciągle naprzemian: 1 ścis. o. w 2 z rzędu o., 1 pow. o.—2 kolej: 2 pow. o., potem ciągle naprzemian 1 ścis. o. w następne w poprzedniej kolei opuszczone ocz., ponad temże znajdujące się pow. o. razem przerobić, 1 pow. o.—3 kolej: 2 pow. o., potem ciągle naprzemian; 1 ścis. ocz. w następ. ścis. o. przedostatniej kolei, ponad temże znajdujące się pow. o. razem przerobić,

bić, 1 pow. o.; każdą następną kolej tak samo wykonać, tylko odpowiednio do formy tracić lub przybierać oczka. Stopę rozpocząć od noska podwójną nitką na założeniu 48 o. tam i napowrót jak następuje: 1 kolej: 2 o. opuścić, potem ciągle 1 pół słupek w każde o.—2 kolej: 2 pow. o., potem ciągle 1 pół sł. w tylną żyłkę następ. o. powtarzać ciągle poprzednią kolej, tracąc lub przybierając o. odpowiednio do formy. Po wykończeniu ozdobić podług ryc. rüsą i kokardą.

Koldra powozowa od kurzu (ścieg gałązkowy, rybiej łuszczy, supelkowy i pocztowy).

Rycina Nr 38 w Bl. Nr 24.

Koldra 172 c. dług. a 130 c. szer., wykonana na atlasie koloru piaskowego i otoczona szlakiem z ciemno-niebieskiego atlasu. Dwa rogi przyozdobione haftem przedstawiającym wśród gałązek końską głowę, podkową i szpicrutę, 3-ci róg ozdobiony godłami sportu, a 4-ty monogramem. Haft wykonać piaskową i ciemno-niebieską bawełną, oraz cienkim czarnym jedwabiem ściegami wyżej wymienionymi.

Koldra podróżna (robota szydełkowa).

Rycina Nr 39 i 40 w Bl. Nr 24.

Koldra złożona z 4 pasów, każdy 18 cent. szer. i z 5-ciu każdy 12 cent. szer. wykonanych szydełkiem grubą włóczką „zefir“ koloru oliwkowego

a następnie przewlekana włóczką tak zwaną „laine velouté“ i przesywana filozelą koloru terracota w jasnym odcieniu. Połączenie pasów wykonać włóczką koloru oliwkowego ściegiem łańcuszkowym a poprzeczne brzegi ozdobić frendzlą wiązaną. Deseń ryciny Nr 40, przedstawiający ścieg wielkości naturalnej jest tak wyraźny, że nie widzimy potrzeby opisywania roboty szczegółowo.

Suknia z „surah“ i fularu w deseń.

Rycina Nr 2 w Bl. Nr 25.

Spódnica z szafirowego w popielaty wpadającego kanansu nieco powłóczysta, ubrana falbaną z „surah“ z przodu do samej góry, zresztą na 40 cent. wys., przykryta fularem rozchodzącym się z przodu, obszytym u dołu gipiurą, oraz naszyty 7 razy wąską aksamitką. Staniczek fularowy, którego krótka baskinka chowa się pod spódnicą, tworzy rodzaj bluzki, karczec zaś jest z plisowanego „surah“, naszyty aksamitkami i ozdobiony gipiurą irlandzką. Bufiaste rękawy zdobi również gipiura i aksamitki, pasek i kołnierzyk aksamitne.

Suknia z materiału „foulé“ i jedwabiu w deseń.

Rycina Nr 15 i 18 w Bl. Nr 25.

Podszewka spódnicy z szafirowo-popielatego kanansu, na 204 c. szer. podszyta z lewej strony listwą, oraz kulisami do ściągania na 30 i 70 c. od górnego brzegu, z prawej zaś obszyta wokoło plisowaną falbaną na 9 c. szer. Przód spódnicy ubrać od dołu do góry materiałem jedwabnym szafirowo-popielatym w deseń na 38 cen. szer. Tył i boki przykryte są dwoma częściami materiału „foulé“ na 180 c. szerokiemi, podszytymi muslinem z przedniego brzegu. Części te połączone są pasem z materiału w deseń na 18 c. szer. i zachodzą nieco na przód spódnicy, u dołu na 9 c. od brzegu, u góry prawie schodzić się powinny; obszyte są wzdłuż przedniego i dolnego brzegu haftem lub pasmanterią, ułożone na bokach gładko, z tyłu w głębokie fałdy. Pasek z pasmanterii przymocowany z tyłu, zachodzi z przodu podług ryciny.—Krótki stanik schowany pod spódnicą—skrajac z jedwabiu w deseń, ubrać z przodu gładkim materiałem, którego brzegi haftem lub pasmanterią ozdobić; rękawy w górze bufiaste, wąskie u dołu, zakończone mankietikiem z haftu i stojący kołnierzyk uzupełniają ubranie sukni.

Okrycie koronkowe.

Rycina Nr 1 i 5 w Bl. 26.

Okrycie to z odpasowanego czarnego koronkowego materiału, którego kontury deseni objęte są jedwabnym sutaszem, wzdłuż przedniego brzegu przodów i rękawów, jak również na plecach, reszta zaś deseni obję-



Nr 1. Suknia z fularu. (Przód do Nr 32 w Bl. Nr 28).

Nr 2. Płaszcz z gumowego jedwabnego materiału. (Opis odwr. str. tabl.)



Nr 3—6. Prześcieradło, ręczniki i płaszcz kąpielowy.

ta jest tylko kordonkiem. Koronkowy kołnierzyk podszyty atłasem; czarna wstążka przyszyta w pasie służy do wiązania.

Sukienka dla panienki od 8—10 lat.

Rycina Nr 2 i 4 w Bl. Nr 26. (Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 12—17).



Nr 8. Suknia z krepy wełnianej. (Op. odwr. str. tabl.).

Skrajać z ponsowego perkalu w biały rzucik, podług fig. 12, 17 i 18 po jednej części złożonej wzdłuż środka, ostatnią z uwzględnieniem konturów lewej połowy; podług fig. 14, 15, 20, 21, jak również z podszewki podług fig. 13, 16 i 19 po dwie części, z dopasowanego szlaku podług fig. 22 mankiety do rękawów, wykonać w przodach i plecach z materiału zakładki, trafiając każdy $\frac{1}{2}$ na kropce,

zmarszczyć plecy w pasie w równych odstępach i przyfastrygować je do podszewki. Podszyć podszewkę, pierwszy boczek i fig. 15 do linii, jak również fig. 12, 18, 21 i 22, mankiety merlą oprócz podszewki, napierśnik ozdobić szlakami z haftu. Połączyć plecy, boczki i przody, wyłożyć te ostatnie podług kropkowanej linii do środka, przyszyć prawą połowę do napierśnika podług liczb, z lewej strony dać listewkę z dziurkami i przyszyć małe guziczki z lewej strony napierśnika. Wierzch stanika zmarszczyć wzdłuż dolnego brzegu, wyłożyć na lewą stronę, przyszyć do dolnego brzegu podszewki, tak, aby miejsca oznaczone z przodu dwukropkiem schodziły się punktem pleców oznaczonych liczbą 27. Następnie przyszyć spódniczkę z perkalu na 44 c. dług., 140 c. szer., zmarszczoną w górze i przykrytą falbaną tej samej wysok. a 200 c. szer., zakończoną u dołu szlakiem. Połączyć stanik z kołnierzykiem, tak, aby podchodząca część jego od



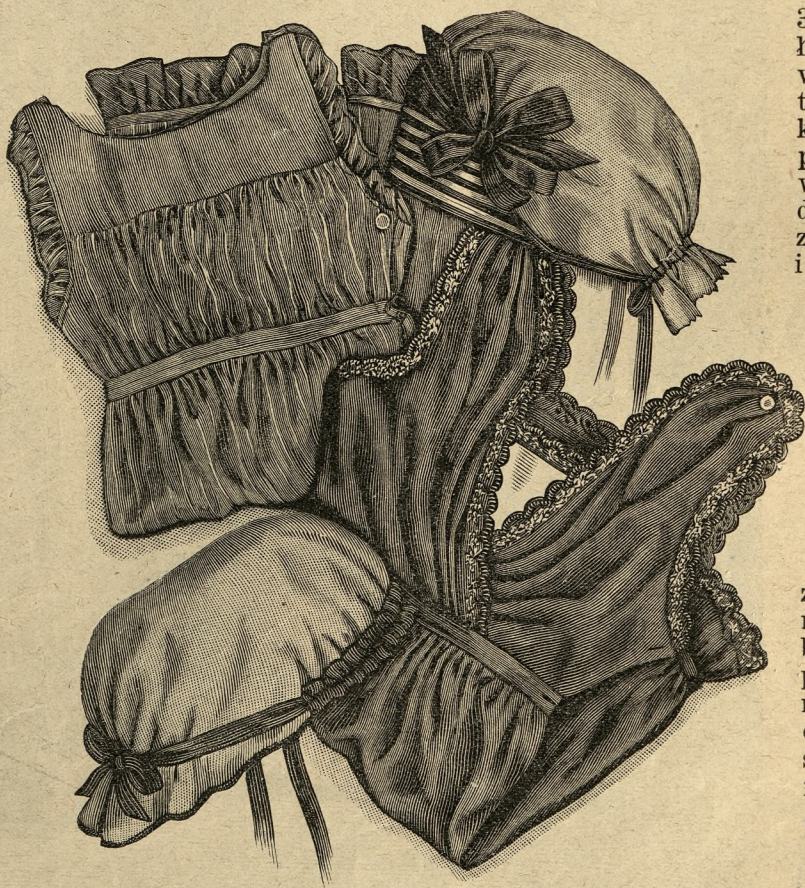
Nr 7. Suknia fularowa.

30 do gwiazdki przyszytą była do napierśnika. ułożyć wierzch rękawa w zakładki, tak, aby $\frac{1}{2}$ każdy trafiał na kropkę, nafastrygować na podszewce, zmarszczyć wierzch rękawa od gwiazdki do gwiazdki, zeszyć wierzchy ze spodami, ubrać wylogami i przyszyć do stanika.

Suknia z zefiru.

Rycina Nr 3 i 6 w Bl. Nr 26

Spódnica z zefiru w kratę na 202 cent. szer., przykryta jest drugą na 282 c. szer., obrąbioną u dołu na 9 cent. i obszyta haftem na 3 cent. szer. Przednia 140 c. szer. połowa, spódnica, w górze zaszyta w drobne zakładki na 14 c. dług. od górnego brzegu. Tylina połowa z rozporkiem w środku zmarszczona. Ułożyć z przodu w fałdy część zefiru skrajanego ukośnie na 32 c. szer. zakończoną z tyłu kokardą oraz długimi szarfami, które mają być podwójnie skrajane. Część przeznaczona na szarfę jest na 100 c. długa a 30 szeroka; kokarda tej samej szerokości, a każda jej poło-



Nr 9—12. Ubrania i czepeczki kąpielowe. (Krój pierw. str. tabl. Nr I—IV, fig. 1—10).



Nr 13. Kapelusz dla młodej panienki.



Nr 14. Znak haftowany.

wa spada na 36 cent. dług. Staniczek ułożony w zakładki na 15 cent. od wcięcia, przy szyi zmarszczony i wszyty w marynarski kołnierzyk z haftu, rękawy bufiaste z szerokim mankietem z haftem; kokarda z zefiru zdobi przód stanika, którego baskinka schowana jest pod spódnicą.

Okrycie z jedwabnego repsu.

Rycina Nr 7 w Bl. Nr 26.

Okrycie z przodu długie, z tyłu formą wciętego paltocika skrojone z jedwabnego czarnego repsu, ubrane haftem z pereł, u dołu zaś i wzdłuż brzegu rękawów czarną koronką. Taką koronką zdobi wycięcia przy szyi, oraz przód okrycia, gdzie stanowi rodzaj żabotu. Pasek spiczasto zakończony, z repsu i haftu, przyszyty na bocznych zapina się z przodu.

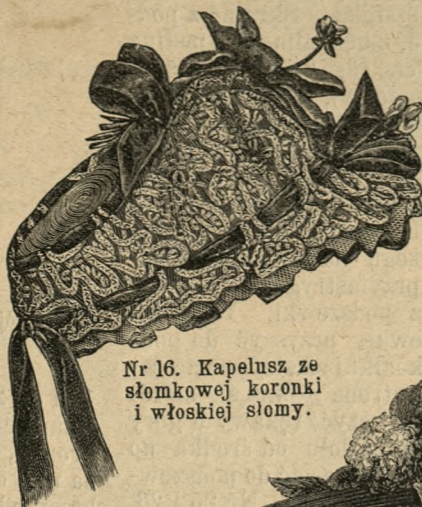
Stanik z surah.

Rycina Nr 17 i 21 w Bl. Nr 26. (Krój odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 47—51).

Stanik z surah z okrągłym wycięciem i bufiastymi krótkimi rękawkami, może być wcięty pod szyję po dodaniu



Nr 15. Kapelusz ze słomkowej koronki.



Nr 16. Kapelusz ze słomkowej koronki i włoskiej słomy.



Nr 17. Kapelusz ze słomy i włosianej pleśni.



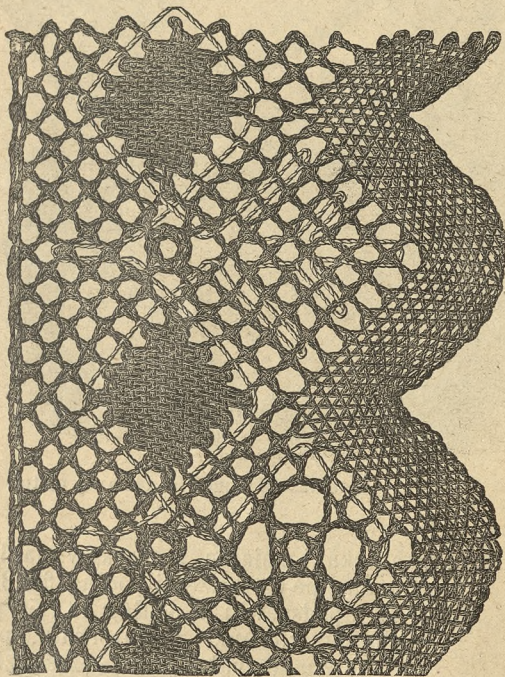
Nr 18—20. Kapelusze ogrodowe lub nad brzeg morza.

karczka i zmianie rękawków na długie. Skrajać po dwie części podług fig. 35—39 i 49 z podszewki, a podług 48 i 50 po dopełnieniu złożenia z materiału, podług fig. 47 z materiału jedną część złożoną wzdłuż środka przykryć fig. 37 materiałem, zszyć fig. 35 i 36, oraz 38 i 39 podług liczb, wykonać w przodach i plecach z materiału fałdy, mocując każdy $\frac{1}{2}$ na kropce, i każde 4 krzyżyki na kropce, i zmarszczyć je wzdłuż gładkiej linii w sposób, aby utworzyć główkę jak na rycinie. Po przyfastrygowaniu pleców i przodów na podszewce, połączyć stanik podług liczb; wzdłuż pleców przyszyć koniki i haftki, zmarszczyć fig. 50 wzdłuż górnego brzegu od gwiazdki do gwiazdki oraz wzdłuż gładkiej linii, przyfastrygować je do podszewki rękawków, zmarszczyć tę ostatnią między gwiazdkami, wykonać szew od 24 do 25 i wszyć do pachy podług liczb. Karczek składa się z aksamitnej na 2 c. szerokiej wstążeczki i tejsze szerokości koronkowej wstawki, pozszywanej podług fig. 40—42 i przyfastrygowywanej pod spód stanika. Długie bufiaste rękawy skroić z „surah” podług fig. 51, po dopełnieniu złożenia dwie części, z podszewki podług fig. 43 i 46, zmarszczyć je u góry, zszyć części z sobą i wszyć do stanika zamiast krótkich. Rozporek w rękawkach połączyć pentelkami zapiętymi na guziczki.

Stanik z bengaliny.

Rycina Nr 18 i 27 w Bl. Nr 26. (Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—11.

Elegancki stanik z bengaliny i aksamitu, może być noszony, wycięty lub pod szyję. W tym ostatnim wypadku uzupełniają go wstawione części z aksamitu, oraz także mankiety, które wykończone oddzielnie, mogą być przyfastrygowane lub związane na guziczki do stanika. Skrajac z podszewki podług fig. 1, 4 i 5, z bengaliny zaś podług fig. 2, 3 i 6 po dwie części, (fig. 2 i 6 z uwzględnieniem konturów lewej połowy), podług fig. 7 rękawy. Po zaopatrzeniu pierwszego boczka podszewkę; wykonać w fig. I zaszwękę; połączyć boczki i plecy z podszewki, wykonać fałdy w plecach i przodach z materiału, mocując każdy krzyżyk na kropce, wyłożyć brzegi materiału wzdłuż tylnego i przedniego brzegu na lewą stronę podług kropkowanej linii i przyfastrygować je z odpowiednimi częściami z podszewki. Wykonać w przodach drugą zaszwękę, przyszyć do podszewki przodów haftki i koniki i sfastrygować cały stanik, którego prawa strona zapina się na lewej, nieco na boku. Zmarszczyć rękawy u góry od krzyżyka do krzyżyka, u dołu od środka do gwiazdki, zeszyć je, przyfastrygować do podszewki skrajanej podług kg. 43 i 46 tabl. Nr 25 i 26, wszyć je u dołu w listewkę zakrytą, zfałdowaną wstążeczką, związaną na kokardkę i połączyć je ze stanikiem podług cyfr. Napiersnik, plecy i mankiety skrajac z aksamitu i podszewki podług fig. 9 po dwie części, podług fig. 10 i 11 po jednej, podług fig. 8 dwie części złożone wzdłuż środka, podłożyć fig. 8 i 11 merłą, zszyć części od * do dwukropka, połączyć je od 17 do 18 z kołnierzykiem, mankiety przymocować do rękawów do listewki.

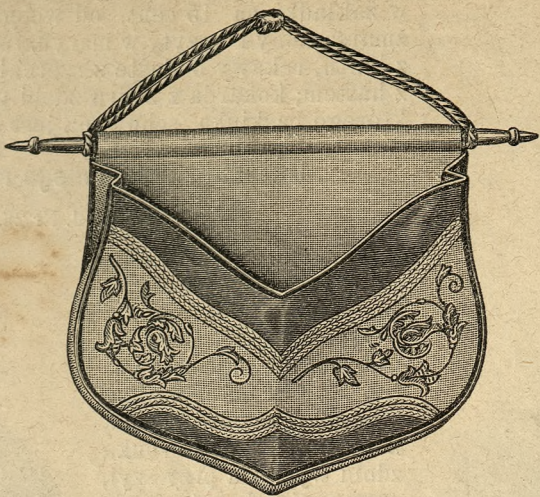


Nr 22. Korona do ozdoby ubrania. Klockowa robota do ryc. Nr 23.

Stanik z krepy.

Rycina Nr 22 i 26 w Bl. Nr 26. (Krój odwr. str. tabl. Nr V, fig. 35—46).

Ryc. Nr 22 przedstawia staniczek wycięty, który po dodaniu rękawów i karczka, może być także pod szyję związane. Ukroić z białej krepy i podszewki podług fig. 35—39 po dwie części, zeszyć takowe podług liczb, wykonać wzdłuż pleców dziurki do sznurowania stanika i ubrać go wokół, jak również pachy, krepową falbaną uplisowaną na 8 c. szer., na ramionach nieco zwężoną, i której końce zachodzą jeden na drugi. Karczek skrajac z irlandzkiej gipiury i jedwabnej podszewki podług fig. 40 i 42 po jednej części złożonej wzdłuż środka, podług fig. 41 dwie części, połączyć je od 14 do 15, z kołnierzykiem od 16 do 17 i obszyć karczek wokół plisowaną krepową falbaną, która spada na falbanę otaczającą stanik. Rękawy skrajac z podszewki podług fig. 43, z krepy podług fig. 44 i 46 po dopełnieniu złożenia, z gipiury i jedwabnej podszewki podług fig. 45 po dwie części, podszyć fig. 46 podszewką, ułożyć fig. 44 w zakładki, trafiając każdym krzyżykiem na kropkę, sfastrygować te części od 18 do



Nr 21. Kieszonka nad łóżko (gałazkowym ścięciem). Krój i desen pierw. str. tabl. Nr IX, fig. 36—38).

19 i od 20—21 z wierzchem rękawa z podszewki, zmarszczyć obie części od dwukropka do dwukropka, u góry od gwiazdki do gwiazdki, ułożyć na niej część z gipiury podług fig. 45 i zeszyć rękawy od 20 do 21 od 22—23. Jeśli stanik ma być pod szyję związane, należy rękawy oraz karczek przyfastrygować do stanika.

Suknia z fuiaru.

Rycina Nr 1.

Spódnica 230 c. szer. z białego falaru w zielony rzucik, obszyta u dołu plisowaną falbaną na 8 c. szer., z tyłu zaś na 30 i 58 c. od góry są kulisy do ściągania. Przednia część z tegoż materiału na 58 c. szer., ułożona w kilka fałd, a z samego przodu na 5 cent. wcięta. Boczne brzegi przodu przykrywa druga część spódnicy na 288 c. szer., spadająca płasko, z boków w głębokie ułożona fałdy, a dalej marszczone stosownie do miary paska. Górny brzeg spódnicy przykryty jest szarfami ułożonymi w rodzaju paska, przyszytymi w oddaleniu na 6 c. od przodu i wzdłuż bocznych a spadającymi do ziemi z tyłu. Szarfy te z jedwabnego repsu podwójnie złożonego, koloru zielono-popielatego, są na 135 c. długie 27 szer. Stanik krótki wpuszczony pod spódnice, z marszczonym napiersnikiem, rękawy wąskie w górze marszczone.

Suknia z fularu.

Rycina Nr 7.

Suknia z fularu zielonkowego i białego w zielony rzucik. Na spódnice z kanausu, ułożona jest druga spódnica z fularu w rzucik. Staniczek z przodu zfałdowany krzyżowo w górze, u dołu jest z gładkiego fularu. Stojący kołnierzyk, nieco wycięty z przodu jest również z fularn gładkiego, mankiety także oraz falbana ułożona na ramionach uzupełniają całość tej ładnej sukni.

Suknia z krepy wełnianej.

Rycina Nr 8.

Skromna ta sukienka z niebieskawej krepy, ubrana czarnymi aksamitkami. Spódnica na 210 c. szer., podszyta listwą i zaopatrzona z tyłu w kulisy, ubrana u dołu materiałem na 8 cent. oraz falbaną na 20 c. szer. Na tej podszewce ułożona jest wierzchnia spódnica 380 c. szer., wycięta u dołu w zęby 12 cent. wys., 20 szer., obszyta 3 razy czarną aksamitką, a zmarszczona u góry wokół. Staniczek z przodu marszczony w górze, u dołu zupełnie gładki, szew łączący marszczenie z gładkim materiałem przykryty aksamitkami. Buflaste rękawy i wązkie mankiety oraz stojący kołnierzyk, dopełniają tę gustowną sukienkę.

Ubranie kąpielowe z barchanu.

Rycina Nr 9—12. (Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—3).

Skrajac majtki z barchanu w ponsowe i białe paski podług fig. I po dopełnieniu złożenia po 2 części złożone wzdłuż środka, porobić nacięcia, u dołu przyszyć falbanę, której szew przykrywa się listewką z ponsowego kretonu. Zeszyć majtki od 2—3, następnie obie połowy z przodu i z tyłu od 1—3, górny brzeg ułożyć w fałd-

ki od szwu do gwiazdki i wszyć w podwójnie skrajany pasek z kretonu na 5 c. szer. a 40 c. długi, który powinien się zapinać na dziurkę i guzik. Bluzkę skrajac podwójnie z kretonu podług fig. 2, z barchanu zaś podług fig. 3 po dwie części złożone wzdłuż środka, zmarszczyć każdą część bluzki od środka do gwiazdki w górze i u dołu, w górze obszyć listewką, dół połączyć z paskiem, pachy obszyć falbanką ułożoną z barchanu, z boku zrobić także dziurki i przyszyć guziki.

Czepek ceratowy do kąpeli.

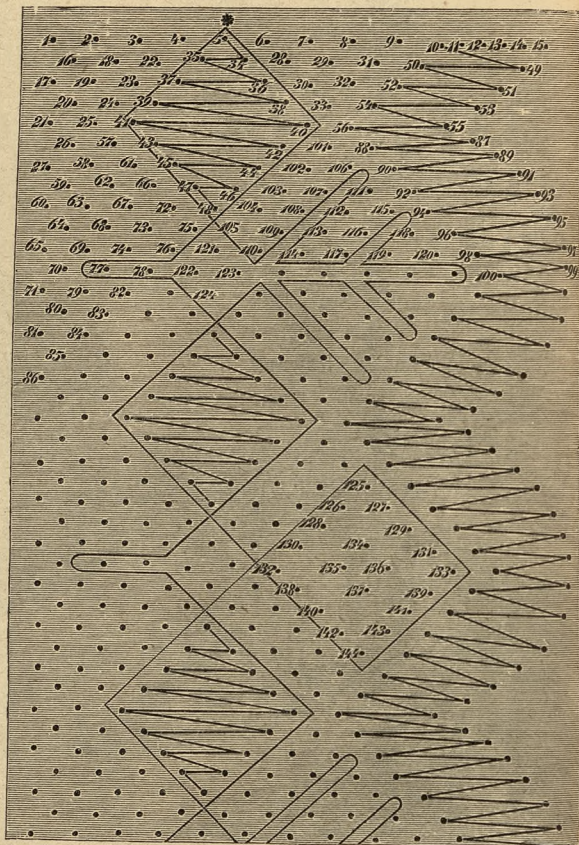
(Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 4—5).

Skroić z ceratowego materiału wadług fig. 4 i 5 po jednej części złożonej wzdłuż środka. Naszyć karczek ponsową tasiemką wełnianą na $\frac{3}{4}$ cent. szer. 4 razy, zewnętrzny brzeg obszyć szerszą tasiemką. Denko wyciąć w zęby w dolnym brzegu, przystębnować tasiemkę służącą do ściągania, górny brzeg sfałdować i przyszyć do karczka od 6 do 7. Szew ten przykrywa się przystębnowaną ponsową tasiemką, która otacza cały czepek. Kokarda z ponsowej satyny zdobi bok czepek.

Czepek z ceratowego materiału do kąpeli.

(Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 6).

Skroić jedną część złożoną wzdłuż środka z ceratowego materiału. Zfałdować górny brzeg tak, aby obwód był na 32 c., objąć brzeg ponsową tasiemką; górny brzeg zdobi się riuszą z ponsowej tasiemki ułożoną w kontrafałdy.



Nr 23. Wzór klockowej roboty (do ryc. Nr 22).

Przyszyć tasiemki do wiązania w miejscach oznaczonych gwiazdkami. Wierzchnie wiążą się z tyłu, spodnie zaś tasiemki wiążą się z przodu.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa szczawiowa z jajami faszerowanymi.
2. Pieczeń wołowa z rożną z kartofelkami.
3. Węgorz z sosem kaparowym.
4. Cyranki, kaczki dzikie.
5. Legumina z krajanych naleśników.

U W A G A.

Tablica krojów, objaśniająca mody ubiorów i robót w dzisiejszym numerze służy też do Nr 27.